ŁOWIEC POLSKI



Stado reniferów na Hyklifield. Fot. L. Rzyszczewski

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ.

NR. 7. (562) 15 LUTY 1930 R.

PROŚBA O FOTOGRAFJE.

Redakcja „Łowca Polskiego“ prosi PP. Myśliwych posiadających ciekawe zdjęcia myśliwskie, o nadesłanie tychże do Redakcji do użytku bieżącego.

Prosimy o podawanie nazwisk osób, które dokonały zdjęcia, w celu zamieszczenia ich pod fotografjami.

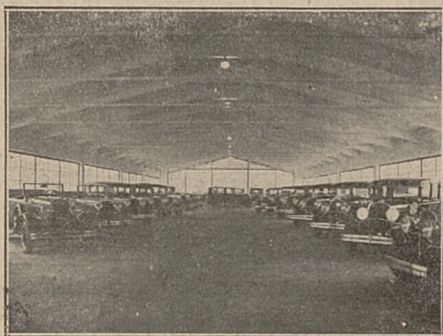
REDAKCJA „ŁOWCA POLSKIEGO“.



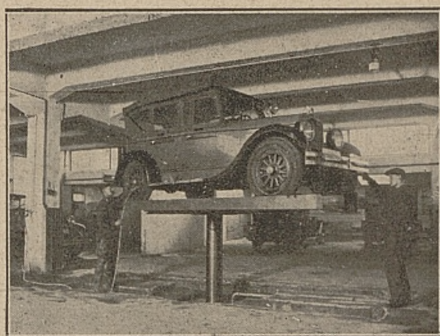
NOWY GMACH FIRMY

AUTO-KONCERN.

W Warszawie przy ulicy Belwederskiej Nr. 16, o paręset metrów od Aleji Ujazdowskiej, a po drodze do Wilanowa, został zbudowany wspaniały gmach mieszczący składy i warsztaty firmy Auto - Koncern. Budynek ten, wytworny w linjach, nawskroś nowoczesny jest ozdobą dzielnicy Belwederskiej. To też nic dziwnego, że wzbudza on powszechny zachwyt i zainteresowanie, a głównie wśród automobilistów. Każdy bowiem posiadacz samochodu jest szczególnie zainteresowany, ażeby nabywając maszynę miał pewność, że maszyna jego będzie miała odpowiednią opiekę, że będzie miał możność konserwować ją stale, że w razie potrzeby zamiany zużytej części nie będzie potrzebował wyczekiwać na nią miesiącami, gdyż to wszystko wpływa na sprawność samochodu i na utrzymanie pełnej jego wartości.



Firma „Auto - Koncern" reprezentująca w Polsce i w. m. Gdańsku fabrykę samochodów „Chrysler", mając pełne zrozumienie dla potrzeb klijenteli i hołdując zasadzie, że stosunek z nabywcą samochodu nie kończy się z chwilą nabycia przez niego wozu, a przeciwnie wtedy się dopiero zaczyna, zawsze starała się zapewnić nabywcom Chrysler'ów jaknajlepszą obsługę. Po kilku latach, wskutek wzrostu ilości Chrysler'ów w Polsce, dotychczasowe urządzenia warsztatowe okazały się zbyt małe i to skłoniło firmę „Auto - Koncern" do budowy własnego gmachu, gdzie największy wysiłek i najwięcej kosztów włożono w organizację i wyposażenie stacji obsługi Chrysler'a. Wyszkolony personel kierowany przez fachowców z zagraniczną praktyką, niezliczona ilość specjalnych narzędzi Chryslerowskich, maszyny i urządzenia stanowiące ostatnie słowo techniki warsztatowej, system, czystość, światło, oto warunki, które gwarantują nabywcy samochodu Chrysler, że pieniądze przez niego wyłożone nie będą **topniały** z dnia na dzień. Pragnieniem firmy Auto-Koncern jest, aby każdy automobilista lub taki, który nim będzie, zwiedził przedsiębiorstwo i naocznie się przekonał, co daje w Polsce posiadanie Chrysler'a i czego w roku 1930 można żądać nabywając samochód.





Słoń w dżungli.

W ZADYMKĘ.

Z pamiętnika pana Zaremby z Dębińca.

— Ignacy, zaprzęgaj! Jedziemy do lasu.

Ale Ignacy stał niewzruszony i okiem wyrażającem wszystko, tylko nie respekt przed wolą władzy wyższej, patrzał, to na mnie, to w okno pokoju. Przez okno nie było wiele widać.

Biały całun mokrego, listopadowego śniegu okrył wszystko, obsypał dachy, obciążył drzew gałęzie okiścią, oblepił okna, szyby, przez które z trudnością obserwować było można gęsto sypiące się płaty wilgotnego śniegu. Słowem, w ramach okna przedstawił się obraz niezwykłej i od lat niepamiętnej śnieżycy.

— Jechać na taką biedę, — mruknął i spojrzał na mnie takiem okiem, jakby miejscem, do którego jechać zamierzałem, nie był las, ale Kowanówko.

— Bajesz! Zaprzęgaj, jedziemy!

— No, to pojedziemy, kiedy musi być, ale czem? Wieś zawiana, aż pod same dachy, na kołach nie wyjedzie się nawet przez bramę.

— To zakładaj do sanek!

— Sanki? Mój ty Boże kochany, gdzie nasze sanki! Za nieboszczyka, starego pana, było ich dwanaście, od tego czasu, co rok jedne zjadały robaki i stróż porąbał — sanny nie mogły się doczekać.

— To zakładaj do smyka, drabki, lub do czego chcesz, byleś zajechał.

Ignacy poszedł i za pół godziny rzeczywiście zajechał. Na poddaszu pod plewami, były jeszcze jakieś płozy od sanek, stare, grube, ale właśnie dlatego zapewne oparły się zębowi czasu. Na nie wnet sprytny i zaradny Ignac włożył jakiś wierzch i sanki były gotowe.

Okapturzeni ruszamy drogą do wsi. — „Drogą" — mówię—jeżeli ten rząd bałwanów, usypanych pomiędzy opłotkami, na jeden — dwa metry wysokich, godzi się tak nazwać. Ale przy pierwszej chałupie staje nam zaspa śniegu, pod sam okap sięgająca, w poprzek drogi.

— Wykręcaj na ogrody, — wołam, ale i tu ciągną się białe, spiętrzone wydmy, konie brną pod brzuchy, zapadają...

— Nie wyjedziemy, — mruczy Ignacy.

— Nawracaj! Sprobujemy przez podwórze.

Ostatecznie przez klepisko stodoły udało się jakoś przedostać na pole, grubo śniegiem, ale równo przynajmniej okryte. Ruszyliśmy więc dobrym kłusem ku lasowi.

— Co my tam dziś ubijemy, — wtrąca jeszcze raz uparty maruda.

— Zobaczysz...

Ignacemu, faworytowi i słudze od lat wielu — trzeba wiedzieć — wolno dużo; wolno tyle prawie, co kotkowi, faworytowi starej panny; mruczeć może, ile zechce, byle oczywiście nie na kolanach.

Tymczasem konie parskają na dobry znak. Z pod kopyt wylatują bryły mokre i bombardują nam głowy. Uchylamy je, to w prawo, to w lewo; raz ja biorę w łeb, to znów Ignacy. Nawet poczciwy „Ajaks", który pierwszy wskoczył na sanki i ciekawie, psim zwyczajem, wciągał powietrze nosem, schował go teraz pod derę.

Ale jazda idzie coraz szybciej. Przed nami roztacza się niezwykły o tej porze roku, zimowy krajobraz. Naokół czysty, biały śnieg, aż oczy bolą. Okrywa on pola, dachy, czarne pnie grusz, na których cieniowana ręką natury, uwydatnia się każda gałązka.

Śnieg nareszcie przestał sypać, tylko tu i owdzie jeszcze leciały drobne płatki ku ziemi, a słońce, przebijając rzedniejące chmury, olśniło białe kryształy.— Jedziemy w kierunku lasu.

Wtem jakieś nieznane doleciały nas głosy; tony wysokie i niskie zlewały się w jakąś dziwną harmonję i zbliżały coraz więcej. Słychać już wyraźnie szczekanie dobranych gończych — sopran, to znów alt i bas starych wygów — całej zgrai, jakby w pogoni za zwierzem. Ogary? Skądby się tu wzięły... A jednak dokładnie słychać było głosy ujadającej psiarni — coraz bliżej. Gołe pole przed nami. Wytężam oczy — nic nie widać. Czyżby w śnieżnej chmurze kryło się to zjawisko?

I myśli moje podążyły do dziwnych, nadprzyrodzonych zjawisk, przypominały mi zasłyszane z lat dawnych legendy o potępionych łowcach, co nie respektując święta uroczystego, wpadli za jeleniem z psiarnią otwartemi drzwiami do kościoła. Za takie świętokradztwo, na wieczne skazani potępienie, gonią od tego czasu i gonią i gonić będą, dopóki w dniu ostatecznym nie odezwie się głos archanioła i wyroku Najwyższego.

— Gęsi lecą, wielmożny panie, o wej! dycht są nad nami.

— A bodaj cię kule biły!

Pod prozaicznym głosem mojego Ignacego prysła iluzja nadprzyrodzonego zjawiska, a jej miejsce zajęła naga rzeczywistość. Wielka gromada gęsi dzikich, niezawodnie pod wpływem śnieżycy, zaczęła się spuszczać ku ziemi z niedwuznacznem już teraz gęganiem.

Paf! paf! — Żadna nie spadła.

— Ale to niema i co żałować, — pocieszał mnie mój famulus, — twarde to jak bies. Łońskiego roku dostał mój krewniak jedną taką na krzciny swojego najmłodszego. Gotowała baba i piekła przez trzy godziny, a gdy który wzion w gębę, to żuł, aż szczęki pękały, wypluć trza było psu, ale i ta jucha na to wyszczerzył zęby.

Gromada tymczasem, kwitując strzały przeciągłem gęganiem, pociągnęła w gościnniejsze strony, a my już wprost skierowaliśmy się ku lasowi.

Z pod grupy świerków, zasadzonych na narożniku wyrębu, wyleciało stado kur. Zasypano tam poślad pszenny z plewami. Obecność kuropatw świadczyła, że poznajomiły się już z nakrytym dla nich stołem. Na wierzchołku jednego z drzew zawiesił leśnik wronę, aby jej widok odstraszał szarych rabusiów.

Wszystko w porządku.

Pod samym lasem zatrzymuję się jeszcze przy budkach założonych na paśniki dla bażantów. Już zdaleka widać ich nerwowe ruchy. Jedne grzebały pilnie, szukając ziarn pomiędzy plewami, drugie, spostrzegłszy zbliżające się sanie, strusim krokiem podążały w gęstwinę. Przy jednej z budek zauważyłem ruch niezwykły. Już zdaleka dochodził nas szum skrzydeł i harmider zmieszanych głosów z krążącej wkoło, szaro czarnej chmury ptaków. Setki wron zgromadziły się tam i wyprawiały dziwne, napowietrzne harce nad budką. Składała się ona ze słupa, o który oparto świerkowe ściany tego sztucznego schroniska. Na wierzchołku słupa umieszczona była żelazna łapka.



Koziorożce w Tatrach. Fot. J. Domaniewski.

Schwycił się w nie właśnie jastrząb (gołębiarz) i bił potężnemi skrzydłami, odpędzając niemi atakującą go ze wszystkich stron, szarą gawiędź. Pośpieszyliśmy go uwolnić z niemiłego położenia. Z groźnie rozwartego dziobu poznać było można, jak mało był ucieszony z naszego przybycia. Schwycił się rabuś za szpony, ale że pałąki gumą były okryte, nie poniósł żadnej szkody. Okryliśmy go workiem, a Ignacy, który już miał wprawę w tego rodzaju manipulacjach, wnet umieścił go w pudle pod siedzeniem W trzy dni później rozmyślał w klatce poznańskiego zwierzyńca o znikomościach tego świata.

Jedziemy dalej i ostatecznie wjeżdżamy w las. Jakiś niezwykły uderzył nas widok! Natura postawiła w swej bujnej fantazji twórczej, czarodziejski pałac zimowy.

Żaden architekt nie skonstruowałby tych form dziwnie wygiętych, sklepionych, puszystym kryształem okrytych. Sosnowe gałęzie ciężarem mokrego śniegu obładowane, powyginały się ku ziemi, tworząc wiązania dziwne, konstrukcje nieznane. Ponad niemi sterczały wyniosłe, dumne, dębów konary, lekko tylko srebrem śniegu okryte, jakoby wieżyce tego

grodu leśnego. Przed nimi, jako przed władcami, schylając swe czoła, korzyła się pospolita rzesza iglastych poddanych.

O, ta kochana knieja nasza! Ileż wrażeń niezapomnianych, świeżych, a w każdej porze roku odmiennych, daje ona miłośnikowi przyrody. Czy to, bud ąc się z letargu snu zimowego, dziewiczym wita nas uśmiechem, czy w dojrzałości letniej lśni w pełnej barwie szmaragdu, czy złotem i karminem jesiennym przystraja swe szaty, czy też wreszcie, jak dziś, w białej, zimowej pościeli, składa swą głowę — zawsze pozostaje niezrównanie urocza i wspaniała.

Nastają nieraz w walce z życiem chwile głębokiego przygnębienia, w których się ucieka od otoczenia, kiedy twarz ludzka staje się wstrętną, śmiech i wesołość napełnia nas grozą. Wówczas szuka się samotności w kniei, w zaciszu leśnem i tak jak drugi Saul przy harfie Dawida, znajduje się ukojenie w muzyce przyrody. Dla mnie las był zawsze taką harfą, do niego kierowałem swe kroki; tam rozpraszały się

i bystremi ślepkami przypatruje się widowisku. I ona z pewnością nie widziała jeszcze zimy, ani dziwnych, zakapturzonych istot, sunących cicho po białej przestrzeni.

Zbliżamy się do założonych w drągowinie paśników. Właśnie do jednego z nich ciągnie sarna z dwojgiem młodych. Starej znane jest to miejsce z lat poprzednich, wie, że tam znajdzie, co szuka w takiej biedzie, więc sunie pewnym krokiem, a za nią, tonąc delikatnemi cewkami w głębokim śniegu, posuwają się ostrożnie koźlaki. Ale tam już zajęta jadłodajnia. Dwie kozy, jak się zdaje, jałowe i tęgi kozioł — myłkus, raczą się u zastawionego stołu. Jest kroków zaledwie ośmdziesiąt — etat odstrzeliwanych kóz jeszcze nie dopełniony. Podniosłem trójrurkę... apage satanas! Dobry gospodarz nie bije gości, których do uczty zaprosił. Jedźmy dalej Ignacy!

Droga staje się miejscami nie do przebycia, gałęzie pod ciężarem śniegu pochyliły się aż do ziemi, gdzieniegdzie złamały się pod jego naporem, a nawet



Z zimowego polowania. Fot. Zb. Wóycicki.

przy jego czarodziejskich wdziękach chmury życiowe. Pod wpływem jego majestatu ogarniał mnie zawsze dziwnie błogi spokój i tonęły w niepamięci owe troski prywatne, publiczne, owe ukąszenia małych i dużych bąków i gzików. Powracałem znów, jak ów wół roboczy, z odporniejszą skórą do zwykłej pracy, do pługa codziennego i do nowych ukąszeń...

Ale wróćmy do rzeczywistości i nie dajmy powodu do śmiechu tym, których realistyczne poglądy nic innego nie widzą w kniei, jak tylko poręby, tartaki i worek żydowski.

Ukryliśmy się teraz pod srebrzystem sklepieniem i już równą drogą sunęły sanki po gładkiej powierzchni. Kazałem jehać wolno, jak zawsze w lesie. Tu i owdzie kicał z niepokojem młody szarak, wyparty nieznanem mu jeszcze zjawiskiem z kotliny. Stary zaś kopyra dał się zasypać i śpi w puszystej, ciepłej pościeli. Tam znów wiewiórka skacze z gałęzi na gałęź, białym obsypując nas pudrem. Ukryła się za pniem drzewa, wychyliła rudą główkę

tu i ówdzie pień cały wykrocony z ziemi, leżał w poprzek drogi, tamując nam przejazd. Nagle Ignacy wskazał biczyskiem na lewo. Stało tam, na niedaleki strzał kulawy, pięć sarn. Nie zatrzymując koni, w mgnieniu oka wyskoczyłem z prawej strony sani, i zanim one zdołały mnie odsłonić, stanąłem ukryty za najbliższem drzewem. Konie postępowały zwolna dalej, obserwowane przez rudel badawczo, jednakowoż bez widocznego zaniepokojenia. Miałem czas przypatrzeć się im bliżej; lorneta okazywała najmniejszy szczegół. Było to dziwnie dobrane towarzystwo. Dwa darniaki (słabe kozły), jeden z nich, widłak, miał tylko tykę (jeden róg) na głowie, a drugi nie zrzucił wogóle jeszcze gomołów (pierwsze różki). Obok stały dwie kozy, podciółki, a młodemu towarzystwu temu matkowała koza stara, dobrze łojna.

— Z tobą czas, luba teściowa! Karb, muszka, łopatka, cyngiel.... Razem z dymem rozpierzchło się wszystko, jakby zdmuchnął okruszyny z obrusu; ale mimo to ze spokojem poszedłem na miejsce po-

strzału. Wiedziałem, że kula wyszła prawidłowo, znaczyła ją też postrzelona sztuka, a na świeżej ponowie wyśledzenie skutku było dziecinną zabawką.

Na miejscu znalazłem odciętą sierć, której kolor i długość wykazywały, że pochodziła z przedniego połcia; nadto obfita farba i obok leżące patrochy kazały przypuszczać, że postrzałek nie mógł ujść daleko. Świsnąłem, a za chwilę „Ajaks", który pozostał na saniach i cały czas nie spuszczał mnie z oka, był już przy mnie. Chwyciłem go lekko za obrożę i wskazując na zafarbowany trop, szepnąłem: szukaj zguby! Pies puścił się galopem za niemylnym śladem.

Koza leżała, co przewidzieć było można, najdalej na 200 mtr. W śnieżną ponowę, trop farbą znaczony znaleźć było łatwo, więc należało tylko podnieść i zabrać. Manewry takie za pomocą psa czyniłem przy każdej ubitej sztuce, dla utrzymania wyżła wszechstronnego w tresurze i wprawie. Może zapamiętają to sobie ci, którzy pamiętnik mój czytać będą.

Była to rzeczywiście stara koza, sędziwa babka rodu. Nosiła ta matrona pod kożuszkiem, jak się wykazało, trzy gatunki śrutu, t. j. 4, 6, 8, które przy zdjęciu zimowego serdaczka wypadały jak groch z dziurawego worka. O, ci kochani sąsiedzi! Zastąpili jednocześnie smakoszom dentystę, plombując zęby.

Włożywszy sarnę na sanie, jechaliśmy dalej.

— A kto tam sznuruje duktem?

Ignac spojrzał bystrem swojem ślepiem we wskazanym kierunku:

— Po chodzie widzi mi się Krzypek, śmigami też macha jak on...

Rzeczywiście był to leśnik Krzypek, dobrze znany jego chód, dzisiaj w głębokim śniegu tem więcej był podobny do postrzelonego kaczora. Wnet też rozpoznać było można twarz jego poczciwą, szeroką, tym razem pod wpływem uciążliwej drogi promienistą, jak zachodzące słońce. Odsapnął ciężko.

— Kłaniam się J.Wielmożnemu panu.

— I ja ci się kłaniam. Co słychać w lesie?

— Wszystko dobrze, — starym zwyczajem odrzekł Walenty Krzypek, z zawiesistych wąsisków odgarniając śnieg.

Trzeba wiedzieć, że u Walentego jest zawsze wszystko „dobrze i w porządku", choćby nastało trzęsienie ziemi, choćby druga Messina przyszła na las, choćby wszystkie psy i koty z całego powiatu urządziły schadzkę w łowisku, — u niego: „wszystko w porządku". Nieoceniony materjał na referenta ministerjalnego w państwie warkocza. Więc i tym razem, odchrząknąwszy tylko, powtórzył jeszcze raz:

— Wszystko w porządku... Obszedłem już budki i paśniki, zasypałem pszenicy... Wszystko dobrze...

— Szkody niema w lesie?

— A tak, byłbym przepomniał... Drzewa dużo śnieg nałamał, leży też, wstyd powiedzieć, kilkadziesiąt sztuk przewróconych. Ale tak zresztą, wszystko w porządku.

— Do kaduka więc „w porządku". A tak nic nie zaszło?

— Nie, wszystko dobrze... Ale prawda! Byłbym przepomniał... — Tutaj na dobrodusznej twarzy Krzypka ukazał się niezwykły wyraz tajemniczości. — Świnie kolonisty Millera z Wielkich Olendrów uciekły.

— A co mnie to obchodzi.

— Ale kiedy w naszych kopcach dużo narobiły psoty; zryły całe kalonki... Wstyd powiedzieć! — aż perki leżą odkryte i po ziemi.

— Skąd wiesz, że to Millera?

— Bo ten miemiec ma takiej maści, czarne zupełnie. Przez całą noc tu pyskały, a do dnia od kopcy przeszły w zagajenie, widziałem je zdaleka i już miałem iść poszukać i zająć, gdy posłyszałem strzał, więc biegłem tutaj...

— Świnie w taką zawieruchę? Dziwna rzecz! Nie majaczyło ci się czasem?

— Ach, J.Wielmożny panie! Po śniadaniu jestem, gorzałki nie miałem w gębie...

— No to siadaj na sanie; zobaczymy te świnie.

Kazałem jechać do zrytych kopców. Wyjechaliśmy też z lasu znów na czyste pole. Latem były tam ziemniaki, obecnie w długie mogiłki okryte śniegiem, widniały rzędy kopcy kartoflanych. Przy jednym z nich już zdaleka widzieć było można, jakąś niegospodarczą robotę. Lubo śniegiem przysypana, sterczała



Portret „Marsa". Fot. Zb. Wóycicki.

z kopcy słoma, leżały ziemniaki rozrzucone i nadżarte, a liczne tropy świadczyły o bytności czworonożnych szkodników.

Od pierwszego wejrzenia nie było wątpliwości, iż to swawolna robota gromady dzików. Trop stary i świeży dokładnie znaczył, skąd nieproszeni goście przybyli i gdzie się po odbytej biesiadzie ukryli.

Krótka komenda: Jedź za tropem. I wnet stanęliśmy przed gęstym zagajnikiem, gdzie sosnowe gałęzie zakryły dalsze ślady gromady.

Skręcaj na lewo Ignac! Objedziemy cały ostęp; należy stwierdzić, czy w nim leżą, czy z niego wyszły.

Las w Dębińcu jest podzielony na VII rewirów i 28 ostępów. Każdy ostęp ogranicza dróżka, nie trudno więc było objechać. W najgłębszem milczeniu okrążaliśmy ostęp 18-ty i stanęliśmy znów na miejscu początku okrążenia, ale śladów wyjścia dzików nie było. Leżały więc w zagajniku na pewno.

Że to były dziki, a nie świnie kolonisty, jak mnie-

mał Krzypek, trzymałem dotąd w tajemnicy. W naszych lasach był to zwierz niezwykły; ukazywał się czasem, przechodząc z sąsiedniego powiatu z lasów państwowych, do innych zalesionych powiatów, w Dębińcu wszakżeż zatrzymywał się krótko. Czasem tropy lub szkoda wyrządzona w zbożu lub okopowiźnie świadczyły tylko, iż tu przebywał i posilał się w drodze.

Krzypek*) mimo swej służbistości i innych zalet, nie był bohaterem homerowskim; wiedziałem, iż skoro się dowie, że to wyprawa na dziki i ma być czynny przy tej imprezie, stanie się z bojaźni niezdolnym do wykonania jakichbądź rozkazów. Pozostawiłem go więc w mniemaniu, że to świnie, wychowane w chlewie kolonisty.

— Weź „Ajaksa" na rzemień, — zadysponowałem, — i skoro minie kwadrans (patrz na zegarek), puścisz go za tropem, trzymając ciągle na rzemieniu. Skoro na świnie trafisz, puść go luzem, niech mi je napędzi.

To mówiąc, dałem Ignacowi rozkaz jechania co dopiero przebytą drogą i wnet też zagłębiliśmy się w zwisłych od ciężaru śniegu, gałęziach sosnowego zagajnika. Upatrzyłem tutaj miejsce, zresztą z dawniejszych polowań znane mi dobrze, gdzie wśród iglastego gąszczu ciągnie się zagłębie olszowe. Był to zwykły przesmyk, zwłaszcza dla lisa; sądziłem więc i to nie bez słuszności, iż i otropione dziki nim pójdą.

Odesławszy sanie, usadowiłem się w środku olszynki. Przedemną był widok dość obszerny: przez pozbawione obecnie liści i grubsze pnie drzewa, dojrzeć było można na kilkadziesiąt metrów. Tak samo z prawej i lewej strony, choć przeplatały drzewa, ale względnie niezła była możność strzału do przebiegającego tym przesmykiem zwierza.

Miałem z sobą, jak zwykle, trójrurkę; w górne, gładkie lufy włożyłem naboje najgrubszego śrutu, w dolną gwintowaną 11 m/m półpłaszczowy pocisk. Oparty o drzewo, czekałem, co będzie dalej.

Oczekiwanie na zwierza, zwłaszcza jak w tym wypadku, grubego i odpornego, ma dziwny urok i nie wiem, czy jest w życiu ludzkiem wiele chwil podobnych. Jest to uczucie kochanka, oczekującego na pierwszej schadzce przybycia lubej. W umówionym parku, na zacisznej ławeczce siedzi i patrzy oczekująco z trwożliwym niepokojem: w prawo, w lewo. Z której strony wyjdzie? A może wogóle nie przyjdzie, może pójdzie do innego, może się rozmyśli Serce bije młotem. Coś się majaczy w dali, ktoś nadchodzi... W każdej spódniczce widzi jej lubą postać, w każdej twarzyczce jej słodkie oczęta. Nareszcie... to ona idzie! Nie, nie ona! Znów czekanie, znów nadzieja, zawód lub radość...

Tak i tutaj. Nic nie było słychać na grubej, śnieżnej powłoce; dywan przyrody wszystkie kroki zatajał, ale fantastyczny zmysł oka w każdem, ciemniejszem tle krajobrazu widział oczekiwanego zwierza, poruszenie zwolnionej z ciężaru okiści gałęzi jego nadejściem.

Na emocji i uczuciach niezwykłych, rodzących się w takiej chwili w sercu człowieka trzymającego w ręku narzędzie śmierci, polega urok myślistwa. A kto nie odczuł wrażeń słodkiego niepokoju, idąc na pierwszą schadzkę miłosną, i chwili oczekiwania na zbliżającego się zwierza, temu nieznany pozostanie największy urok życia, jaki dał Stwórca w miłości do kobiety i do myślistwa.

Ale w tej chwili pełnej emocji, stojąc w lesie pod olszą, nie w zagadnieniach bytu ziemskiego zagłębiały się myśli. Zegarek wskazywał już 25 minut od chwili rozstania się z leśnikiem, a dotąd nie zdarzyło się nic, coby zapowiedziało ruszenie się zwierza. Wysoko na niebie stojące słońce, po odprawie danej śnieżycy, wysyłało złociste promienie na leżące na gałązkach kryształy; ogrzane słonecznem ciepłem, spadały, szkląc się, na ziemię.

Nagle, z prawej strony, z przygiętych do ziemi, sosnowych gałęzi, wzbił się biały kurz, podniosła się kurtyna zieleni i wypadła z tej osłony czarna gromada. Znalazłszy się nagle w rzadkim lesie, przystanęła zdziwiona i niedowierzająca, zbita w bezładny kłąb. Silny odyniec, z groźnie bielejącemi szablami, stał nieco wysunięty z przodu.

Stałem z kołatającem sercem, ale pewnem okiem i spokojną ręką; podnieść jej nie czas było jeszcze...

Wnet też uczynił się ruch w czarnej czeredzie. Pierwszy ruszył przodownik, za nim w skok towarzysze. Szły skośnie z prawej ku lewej...

Chociaż strzał w tem położeniu nie był zbyt korzystny, uważałem, iż na lepszy czekać w danej chwili niema widoku. Więc strzelbę do twarzy... muszka na komorę... Pociągnąłem za cyngiel.

Gdy strzał huknął, już z jego odgłosu zmiarkowałem fatalną pomyłkę, to nie był kulowy strzał, to śrut wyszedł z rury...

Skutek też był po temu... Dzik błyskawicznie zmienił kierunek biegu ,odłączył się od gromady i zaszarżował w moim kierunku. Teraz dopiero przestawiłem zamek na kulę i już zaledwie na 10 kroków wypuściłem ją w łeb odyńca... Nie widząc wszakże skutku, uskoczyłem na bok i z odległości kilku kroków zaledwie wyszedł z trójrurki ostatni nabój w bok odyńca.

Wszystko to działo się szybciej, niżbym zdołał opowiedzieć... Dzik leżał z przebitym kulą łbem i rozerwanym bokiem, a śnieg pod nim okrył się purpurową farbą.

Odetchnąłem... Uchylając kapelusza przed groźnym i odpornym przeciwnikiem, otarłem pot z czoła.

Jednocześnie prawie przypadł „Ajaks" z wyciągniętym ozorem, z podziwem obwąchując potężne zwierzę, a za nim ośnieżony leśnik Krzypek, z twarzą buraczaną od przemęczenia i alteracji. I Ignac zjawił się też z saniami pośpiesznie. Wszyscy patrzyli, zdumieni, milcząco na niezwykłą zdobycz.

— Włożyć go na sanie, — dysponowałem krótko, — idź za resztą gromady, sprawdzić, dokąd poszły, - Ignac! tu z saniami się na mnie czeka. Krzypek! Na dziś służba skończona. Spisałeś się dobrze!

Po kilkuset metrach przebytych za tropem reszty gromady, przekonawszy się, iż przeszły granicę, wróciłem do sanek.

Dobrze obładowanemi saniami, gdyż dzik sam ważył przeszło 150 kilo, wracałem do domu. Jechaliśmy w milczeniu. Myśli moje przechodziły zdarzenia

*) Leśnik Krzypek, były kowal, jest bohaterem innej powieści autora, drukowanej p. t. „Czarny stryjek" w r. 1929 w „Przeglądzie Leśniczym".

dnia, tak różnorodne i niezwykłe, a „w myślistwie zawsze nowe", jak mówi niemieckie przysłowie.

O czem realnie wychowany Ignac myślał?

Najpewniej o kluskach z kapustą, bo czas obiadu już dawno minął. Ale omyliłem się tym razem... Obrócił się z kozła do mnie i zwolniwszy koniom biegu, odezwał się, uśmiechając:

— Żebym nie obraził J. W. Pana, ale chciałbym coś powiedzieć.

Znając dokładnie swego famulusa, wiedziałem, że się zacznie jakieś groteskowe opowiadanie.

— No mów, — zachęciłem.

— Z naszym Krzypkiem, to rzecz śmiechu warta... chłop jak dąb, a czysta baba z niego.

— A co on przeskrobał? — zapytałem, ciągnąc za nietrudny do poruszenia język.

— Jakeśmy tego dzika dźwigali na sanie, — rozpoczął Ignac, — to on zaraz do mnie:

„Zamiast fantować, jak należało, to stary... (przepraszam, ale tak mówił), to stary świnię Millerowi zabił i jeszcze ją sobie bierze.... Żeby jeno z tego nie była sprawa sądowa.

„Co też borowy nie baje", mówię, „przecież to nie żadne świnie były w kopcach, jeno dziki prawdziwe, w boru wychowane". A on ślepie wywalił jak cebule:

„Co Ignac mówi, takiego stwora nie widziałem jeszcze".

„O! ja już widział", ja mu na to, „bo byłem na obławie, co ich kręciło się w boru jak zajęcy, bardzo to złe bestje, na człowieka idą... Patrzcie na tego, co tu leży, jakie ma zębole... Wtedy też na tem polowaniu dużo narobiły termedyji: jednemu chłopu rozerwały nogę, drugiego stwór taki nabrał na ryj i podnosił jak piłkę, a potem jeszcze ciężko potyrał leżącego na ziemi, trzeciemu brzuch rozpruł, aż patrochy z niego wyszły"... Byłbym mu jeszcze więcej nałgał, ale mi przeszkodził i nuż mamrotać:

„I na takie stwory szedłem — tylko z psem!"

„Ja się też dziwił", mówię, „no! no! Zuch z Krzypka nie lada"!

Krzypek zdjął kapelusz, poskrobał się po czuprynie, potem odsapnął, jak miech kowalski:

„Może jabym tutaj leżał, zamiast tego kierdy!"

„Juści, snadno być mogła, ale by wam stary pogrzeb wyprawił! ho! ho!... Nie żal byłoby umierać... Cała świnia poszłaby na stypę".

Krzypek już nic nie mówił, tylko spojrzał na mnie jak jaszczur. Wzion i poszedł, śmigami machając, kiej wiatrak.

Tą samą, już utartą drogą przez las, polami i wreszcie przez klepisko i podwórze, przyjechaliśmy do zacisznego, wiejskiego dworku.

W ciepłym pokoju, przy wesoło trzaskających szczapach kominka, pogrążyłem się w zadumie, jeszcze raz przechodząc przebyte chwile dnia myśliwskiego, zakończone niezwykłym epizodem z groźnym i odpornym odyńcem. W ówczesnych czasach zastępowały one tyle innych, dziś wielkomiejskiemu światu wiadomych rozrywek i uciech. Dziś w wieku szybkiego życia i użycia — wieku aeroplanu, auta, radja i kina, niema zrozumienia dla takich subtelności, jakie pochodzą z prymitywnej i dla niektórych śmiesznej pasji myśliwskiej, z jej poczynań i właściwości, a przedewszystkiem ze środowiska, w którem się obraca, to jest czaru przyrody.

One nas ongi, w skromnem i cichem, wiejskiem osiedlu przyjemnie podniecały i zastępowały wiele rozkoszy życiowych.

WŁADYSŁAW JANTA-POŁCZYŃSKI.



Ś. P. PROFESOR BENEDYKT DYBOWSKI.

(WSPOMNIENIE POŚMIERTNE).

Miałem wielkie szczęście i zaszczyt w swych dziecięcych latach w Petersburgu, w przeciągu niemal że całej zimy, codziennie stykać się ze szlachetną postacią tego „Księcia nauki" i gorącego patrjoty. Od tych zamierzchłych czasów więcej niż pół stulecia minęło, ale czcigodna, niezapomniana sylewtka, zawsze jak żywa, odradza się w mej pamięci. Stanowi ona jedną z relikwij ze szczerozłotego skarbca najdroższych wspomnień.

W początkach osiemdziesiątych lat ubiegłego wieku, zaraz po swym powrocie z Syberji, zamieszkiwał pan profesor dość długo w stolicy carów, celem załatwienia szeregu formalności, dla otrzymania prawa na wyjazd do kraju, po „wyrwaniu się" na-

reszcie z „katorgi" rosyjskich despotów. Podczas Jego pobytu nad Newą, ś. p. matka moja*), gorąca patrjotka, — poznawszy Go na jednem z zebrań Polskiego Towarzystwa w Petersburgu, — odrazu, pod wpływem czaru, emanującego z całej postaci tego, nietylko wielkiego uczonego, lecz także ujmującego człowieka, ukoronowanego aureolą prawdziwego męczeństwa dla idei narodowej, szczerze zaprzyjaźniła się z Nim, i od tej chwili bywał stałym gościem w naszym domu. Ś. p. ojciec mój, którego też stał się prawdziwym przyjacielem, o ile mógł, dopomagał Mu swoimi stosunkami w sferach oficjalnych w załatwianiu Jego spraw, w rozmaitych dykasterjach ówczesnych, carskich, sławetnych instytucyj, pod egidą będących niemniej sławetnych czynowników, odwiecznych typów Gogola i Szczedryna. Oczywiście, jak zwykle, trwały te zabiegi, pomimo energicznego forsowania, dość długo. Było to zimą, więc niejeden wieczór w naszem mieszkaniu przy Sergiejowskiej ulicy spędziliśmy ze czcigodnym profesorem. Zawsze nam, dzieciom, ś. p. matka nasza tłumaczyła cały ogrom miłości dla ojczyzny, poświęcenia się sprawie narodowej tego przodownika wiedzy i jednego z najlepszych synów Polski, za wzór Go dla nas stawiając. A czyniła to, jak zawsze, z całym zapałem swych gorących uczuć dla naszej sprawy. Wypadło nieraz później w życiu „milczeć, cierpieć i... wojować i... niejedno miłe zburzyć, a inaczej odbudować" — jak mówi poeta, a jednakże podniosłe jej słowa, pozostały na zawsze „gwiazdą przewodnią", która świeciła w najciemniejszej nocy.

Lata płynęły i cud się stał!... Rezultat właśnie pracy tylu naszych matek, tylu heroicznych ofiar, podobnych ś. p. profesorowi, bohaterów narodowych. Marzenia pokoleń ojców i dziadów ziściły się. Słowo wieszczów ciałem się stało. Ale natenczas, w okresie pesymizmu i ówczesnego marazmu, pod knutem tyranji carskiej, takie to świetlane postacie nabierały znaczenia żywych symbolów. To też dla ludzi o duszach zajęczych, myślących trzeźwo, li tylko o ekonomicznej walce, sam fakt ukazania się podobnych tytanów etyki narodowej i siły woli, stanowił wieczysty wyrzut sumienia. Karły blakły wobec olbrzymów. Tembardziej, gdy się pomyśli tylko, jak łatwo było już, o szerokim rozgłosie uczonemu właśnie, zadekować się tym swoim charakterem. Lecz natomiast widzimy, że o wszystkiem zapomina, wszystko stawia na kartę, i jako „simplex servus Dei", staje do apelu w obronie ojczyzny i wiary świętej.

Czyż mogli przypuszczać okrutni gnębiciele, że tam, w tundrach syberyjskich, z zimnych fal Bajkału, ten jeszcze oficjalny „katorżnik", później długoletni samotnik - wygnaniec, daruje światu cykl cały nowych odkryć naukowych. Ileż to tajemnic zoologiczno-przyrodniczych, ileż nowych gatunków ptaków i ryb zawdzięcza Mu wiedza wszechświatowa. Nie było Towarzystwa, Akademji, czy Instytutu badawczego, któregoby członkiem nie był nasz znakomity rodak. Pomimo pokus ze strony rządów carskich dla zatrzymania Go w Rosji, za żadne skarby nie zgadza się, i jak tylko wyrwał się z bestjalskich rąk warjagów, śpieszy do niej, do Polski, której zdjęcia z krzyża udało mu się, dzięki Bogu, doczekać. Niezbadane są drogi sprawiedliwości Bożej.

II.

Trzeba było widzieć miły uśmiech ś. p. profesora, bezpretensjonalność i prostotę w opowiadaniach o swych, tak ciężkich nieraz wędrówkach, wzruszającą skromność, kiedy ktoś poczynał podnosić Jego merita, jako bojownika narodowego, lub walory uczonego. „Ale, to wszystko takie zwykłe, codzienne rzeczy, każdyby na mojem miejscu tak samo postąpił, a co się tyczy nowo odkrytych okazów z fauny i flory Bajkału i Kamczatki, to prosty traf i przypadek, zresztą, cóżbym tam robił? „volens nolens" przeprowadzało się badania..." Zaiste, znamienne słowa tak dobitnie charakteryzują potężną indywidualność. Jaką radością była dla nas, dzieci, codzienna prawie wizyta wieczorna ś. p. pana Benedykta. A okrutnie lubił on dzieci, jak zazwyczaj wszyscy wielcy ludzie. Nie zapomnę nigdy, że już natenczas sługa łaskawych Czytelników był poniekąd potencjalnym amatorem przyrody. Interesowałem się szczególnie ptaszkami, których multum hodowało się u nas, pod moją oczywiście kustodją. Ktoś mi w tych czasach podarował dość rzadkiego ptaszka. Niby to szczygieł, lecz o przyćmionych barwach i z zupełnie innym sposobem zachowania się w swych ruchach. Nikt nie mógł określić rodzaju tego łuszczaka. „No, Adasiu, jak myślisz, co to za ptaszek?" „Chyba jaki kuzynek kanarków, ale krewny też szczygłów". „Dlaczego tak sądzisz, mój Adasiu?" „Bo, panie profesorze, skacze w klatce tak samo, i ma ruchy kanarka, i odzywa się po kanarczemu, a piórka to niby szczygła". „Masz rację, gdyż jest to niezawodnie mieszaniec (hybrys) szczygła z kanarkiem, dość rzadko zresztą udająca się kombinacja; widzę z tego wszystkiego, że jesteś bardzo spostrzegawczy, wyrośnie z ciebie napewno doskonały myśliwiec, a może, kto wie, zoolog". Od tej chwili, godzinami lubił gawędzić z małym Adasiem, poczciwy, znakomity nasz gość. Pokazywał mi wspaniale wykonane zdjęcia, kolorowe tablice przez niego odnalezionych ptaków na Kamczatce i z okolic Bajkału.

O ile sobie przypominam, były tam śliczne okazy przeróżnych, dotąd nieznanych odmian krzyżodziobów (loxia), łuskowców, sikor (parus), srok, sójek, a także skowronków (alauda). Atlas ten, jak na ówczesną technikę, wydany był świetnie, nie pamiętam już, przez jaki instytut naukowy; widzę go tak realnie przed sobą. To też, jakżeż oczekiwałem przybycia do nas kochanego pana profesora, jak dumny byłem, że z podobnym smarkaczem raczył rozmawiać, on, o którym rodzice tak wysoką opinję mieli, zawsze nam za wzór naśladowania stawiając. Za młody byłem, żeby należycie wykorzystać i ocenić cały skarbiec wiadomości, które można było zaczerpnąć w obcowaniu z podobnym luminarzem. Ale wrażliwe, dziecięce serduszko już wtedy rozu-

*) Pisała pod pseudonimem Ludwika Piotra Leliwy; historyczne jej dzieła, zawsze o głęboko patrjotycznem podłożu, „Jan Sobieski i jego wiek", „Credo", „Wielka rodzina w wielkim narodzie", „Mieczem i Krzyżem" — swego czasu wydane przez Anczyca i Sp. w Krakowie — dziś stanowią rzadkość bibljograficzną.

miało niewyczerpany zasób dobroci, łagodności, pogody ducha i przebaczenia mąk osobistych tej duszy gołębiej..

Z jakąż intuicją umysłu badacza, jak to trafnie określił czcigodny potentat nauki, że ze mnie wyrośnie myśliwy, a może i zoolog. Ten ostatni, niestety, nie wyhodował się, ale miłośnik przyrody i venator rzetelny, tak, śmiało twierdzić mogę. Kto wie, czy też długie, naiwne z mojej strony „colloquia" z naszą „Victima Patrie" nie przyczyniły się częściowo do tego, stanowiąc podłoże przyszłej, szlachetnej namiętności. A jeśli tak, to zaciągnąłem wobec ś. p. Benedykta Dybowskiego największy dług osobistej wdzięczności. Bo to on, w takim razie otworzył mi oczy na ową golkondę estetyki, bezmiar poezji skrystalizowanej w każdym odruchu wszechstworza!

III.

Później, kiedy to dochodziły mnie wiadomości o wszechświatowej sławie naszego wielkiego rodaka, ucieszyła się również moja polska dusza z tej Jego, tak zasłużonej sławy, lecz serce dziecka, przed pół wiekiem do Jego łona z taką anielską słodyczą przygarnięte, już wtedy, błogosławiło Go i kochało, i modliło się za Niego, co też teraz wspólnie z całem naszem społeczeństwem czynię.

Śpij, odpoczywaj na wieki zasłużony Książę Nauki — „Victima Patrie" świętej ojczyzny naszej!

W tym zimnym grobie niech się zawsze Polska śni Tobie!

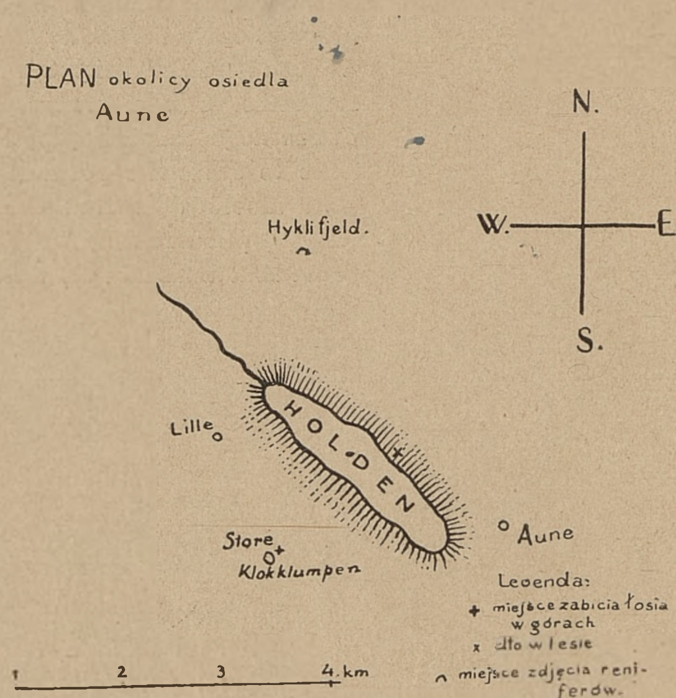
ADAM RZEWUSKI.

O POLOWANIU NA ŁOSIE W NORWEGJI.

Z wielkiem zajęciem przeczytałem w Łowcu Polskim artykuł hr. Maurycego Potockiego „Polowanie na łosie w Norwegji". Moje wspomnienia z Norwegji sięgają r. 1906, kiedy po raz pierwszy wynająłem tam polowanie i powróciłem z dwoma łopataczami. Pierwszego łosia ubiłem w r. 1900 w Berestianach na wołyńskiem polesiu ordynacji Ołyckiej ś. p. księcia Ferdynanda Radziwiłła. Do Norwegji wybrałem się ponownie w 1907 r. i zdobyłem podczas sezonu 5 łosi. W jesieni 1908 r. przesiedliłem się na stałe do Norwegji i mieszkałem tam do lata 1912 r. Później po wojnie i rewolucji powróciłem do Norwegji wiosną 1921 r. i przebywałem tam do końca 1924 r. Spory to kęs czasu, w którym poznałem dokładnie sposoby i możliwości tamtejszych polowań, kraj i ludzi, licznych i najlepszych miejscowych myśliwych i gruntownie wyuczyłem się języka. Rozkład mój obejmuje 10 łosi, kilkaset pardw, kilkanaście głuszców, ubitych przeważnie zimą na nartach z karabinu, kilkadziesiąt cietrzewi, jarząbków i słonek, kilka bielaków i moc ptactwa morskiego. Niestety, mimo licznych wypraw podjętych samotnie i w towarzystwie, nie udało mi się zdobyć żadnego z wielkich drapieżników: niedźwiedzia, rysia lub rosomaka, chociaż nieraz chadzałem ich śladami i bliski bywałem spotkania. Nie „poszancowało", jak mówią na Polesiu. Przecież sądzę, że bogate doświadczenie, nabyte na miejscu, upoważnia mnie, jak chyba nikogo w Polsce, do zabrania głosu w sprawie norweskiego łowiectwa.

Od czasu, kiedy w naszym kraju wojna, przedewszystkiem zaś powojenna anarchja, załatwiła się prawie zupełnie z łosiem, którego ostatki chronią się pod czujną opieką ks. Karola Radziwiłła w ordynacji Dawidgródeckiej i nielicznych kniejach prywatnych i rządowych, dla młodego myśliwego, żądnego rosochatych łopat łosia i niezrównanych wrażeń tego polowania, pozostały w granicach Europy jedynie kraje skandynawskie. Do Finlandji droga lądowa zamknięta, morska utrudniona, stan łosi, najbogatszy w południowo wschodnich prowincjach, przetrzebiony i raczej zdegenerowany. Ażeby polować na łosie w Szwecji, potrzeba poleceń od osób wpływowych w urzędach, lub też do właścicieli większych obszarów, gdyż tylko w lasach rządowych i wielkich kniejach prywatnych popróbować warto. Pozostaje zatem dla ogółu myśliwych jedynie Norwegja.

W tym zimnym grobie niech się zawsze Polska kraju, nie rozumiejąc ani słowa miejscowego języka, i będąc zupełnie nieświadomy stosunków, sposobu tamtejszego polowania, rodzaju terenu, klimatu i wogóle wszystkiego, co może wyprawy dotyczyć", jak powiada Potocki, nowicjusz cudem by chyba czegoś dokonał.



Ażeby więc oszczędzić młodszym braciom w Hubercie dużo trudów i bolesnych zawodów, chcę się w następnem podzielić z nimi rezultatem doświadczeń zdobytych długoletnią praktyką.

Za moich czasów najpoważniejszą firmę i w owe czasy prawie jedyną, pośrednictwa myśliwskiego miał Hjalmar Juell. Był to wtenczas człowiek lat około 50, żwawy i ruchliwy, postawą i bystrym wzrokiem przypominający starych wikingów. Dziwne bo

też były jego dzieje. Jako młody chłopak rzucił książki szkolne i zbiegł na morze. Jako prosty majtek służył na różnych statkach. Było to w dziś już mało nam zrozumiałym okresie romantyki żeglarskiej, kiedy każda podróż była długą i trudną wyprawą, nawigacja ryzykowną sztuką, a robota majtków fachową i ciężką pracą. Po różnorodnych przeżyciach i przygodach, o których warto go było posłyszeć, Juell w latach 70-tych powrócił do Norwegji. Tam ożenił się i osiadł w miasteczku handlowo rybackiem Namsos na północny wschód od Trondhjem. Dostał tam posadę rządową przy inspektoracie portów. W urzędowych objazdach na małym stateczku żaglowym zapoznał się gruntownie z miejscową ludnością.

Mniej więcej w połowie zeszłego stulecia, powiedzmy w latach między 1840 a 1870, Norwegja nawiedzona była plagą wilków. Zmarniał przez to w całym kraju zwierzostan do tego stopnia, że urzędowo zamknięto polowanie na łosie na dłuższy przeciąg czasu. Nietylko zresztą wilki były temu winne, lecz także barbarzyńskie, dawne sposoby polowania, zwłaszcza zimowe ściganie łosi na nartach. Dopiero w 70-tych latach wilki zostały wytępione i wprowadzono surowe ustawy ochronne, zakazujące polowań zimowych. W międzyczasie, zwłaszcza w okolicach Trondhjem, zwanych wtenczas Söndre i Nordre Trondhjems Amt, stan łosi przez naturalny przyrost, a zapewne też przez imigrację z Finlandji poprzez Szwecję, tak się powiększył, że stał się może najlepszym w całej Norwegji. Około lat 80-tych otwarto znów polowanie na łosie. Pierwszy Juell pojął ekonomiczne znaczenie myślistwa. Zapoznawszy się dokładnie z nieliczną podówczas ludnością dorzecza rzeki Namsen, okolic Grong, doliny Sandöla, Luru, Lierne, Snaasen, Verdalen, Selbu, Gaudalen i innych, utworzył sobie z zawodowych myśliwych tych stron doskonały sztab fachowych przewodników i zaczął w pismach zagranicznych ogłaszać polowanie na łosie. Pierwsi przyjechali anglicy. Niebawem jednak rozpoczęła się nieprzerwana pielgrzymka myśliwych niemieckich, która trwała aż do wojny światowej. Już pierwsi jego klienci, należący przeważnie do wpływowej klasy junkrów, wyjednali mu tytuł honorowego konsula niemieckiego, który był mu niemałą pomocą w stosunkach krajowych i zagranicznych.

Wkrótce firma Hjalmar Juell zasłynęła w niemieckim świecie myśliwskim. Składały się na to rozmaite czynniki. Zwierzyny t. j. łosi było rzeczywiście dużo, Juell zadawalniał się stosunkowo skromnym zyskiem i brał niedużo od swoich zamożnych klijentów; nadzwyczaj usłużny i łatwy w obejściu umiał pozyskać sobie między swoją klientelą niemało osobistych przyjaciół. Przewodnicy miejscowi z psami rozumieli się na swojej robocie, okazując dużo zapału i dobrych chęci. Z biegiem czasu prawie każdy wyuczył się parę słów po niemiecku, co poniekąd umożliwiało porozumienie. Niejeden poczciwy norweg przywdziewał na sezon, podarowany mu mundur förstera lub strzelca. Rzadka ludność tubylcza, pierwotnie patrjarchalna, niezepsuta jeszcze wpływami cywilizacji, dziwowała się zamorskim przybyszom, odnosząc się do nich jako do swych dobrodziejów z naiwną i rozczulającą uczciwością, bez cienia uniżoności i żadnego wyzysku tych niebywałych bogactw, jakie im się w oczy rzucały. W niemieckich pismach fachwych znalazła się wkrótce stała rubryka: „Elchjagd in Norwegen", pod którą różni myśliwi opowiadali swoje wyczyny. Jeden z czołowych autorów myśliwskich Oberländer, po jednorazowym pobycie napisał grubą książkę p. t. „Durch norwegische Jagdgründe". Słowem polowanie na łosie w Norwegji stało się, że tak powiem, klasyczną instytucją niemieckiego łowiectwa. A że był to czas ogólnego dobrobytu w Niemczech, więc przyjeżdżali nietylko junkrowie i przemysłowcy, ale także i średnia klasa. Czuli się tam jak w domu. Deutsche Jägerzeitung po każdym sezonie ogłaszała imienny spis myśliwych wraz z ich rozkładem, w którym oprócz łosi znajdował się nieraz niedźwiedź, ryś lub rosomak.



Osiedle „Aune". Fot. L. Rzyszczewski.

Przypatrzmy się teraz krajowi, ludziom i sposobom

polowania. Tröndelag, jak obecnie nazywają te okolice, jest jak cała Norwegja, krajem górzystym o charakterze wyraźnie polodowcowym. Doliny to szczerby wyryte lodowcami i przechodzące w dalszym ciągu we fjordy. Dziś płynie w nich woda, tworząc strumienie i rzeki, czasem zaś większe, zazwyczaj podłużne jeziora. Podgórze, gęsto zalesione świerkiem, mieszanym z brzozą i osiką, o stromych stokach, przechodzi w skalne masywy od 1000 do 1200 m. wysokości o startym lodami profilu. Nieliczne sterczą ostre, krzesane szczyty, dawniejsze lodowcowe nutanaki. Jest to bądź co bądź strefa północna, mimo morskiego klimatu, dzięki któremu rosną tu jeszcze lasy, podczas kiedy równoleżnie w Rosji, Syberji i północnej Ameryce szarzeją jedne tylko pustynne tundry podbiegunowe, „the barren plains" arktycznej Ameryki. Na wysokości 600 m. urywa się wysokopienny porost pasmem karłowatej brzozy i wikliny. Powyżej rozpoczyna się tundra, szarzejąca mszarami, wysłana gdzieniegdzie purpurą wrzosowisk i jagodniną, rozległe bagna, które mozolnie trzeba okrążać, liczne strumyki, przez które trzeba skakać po oślizgłych kamieniach przy zupełnym braku dróg i ścieżek, składają się na to, żeby pochód utrudnić i znużyć myśliwego. Wreszcie na halawach, łączkach i w tundrze grunt przeważnie bagnisty, tak, iż nogi przy każdym kroku grzęzną po kostki.

Ludzi tu w ogólności mało. Przeciętna gęstości zaludnienia całej Norwegji: 8 mieszkańców na km. kwadratowy, podlega znacznym wahaniom, tak, iż gdy w gęsto zaludnionym dystrykcie Vestfold dochodzi do 53 mieszkańców na km. kwadratowym, na śródlądowych tundrach północnego dystryktu Finmarken, zwanego także Alaską Norwegji, znajduje się tylko jednego koczownika na 7 km. kwadratowych. Bliżej nas obchodzące okolice Tröndelagen mogą mieć od 2 do 4 mieszkańców na km. kwadratowym. Zamieszkują oni tylko szerokie doliny, zdatne do uprawy, jaką widać w naszych dolinach tatrzańskich. Mieszkają oddzielnie, każdy na swojej piędzi ziemi, nigdy w



Autor, przewodnik i pies przy zabitym łosiu. Fot. L. Rzyszczewski.

ków, poprzerastana kępkami wiklin, gdzie kryją się pardwy; dzika i ponura, usiana miejscami piargami i rumowiskiem moren lodowcowych. Nie jest ona jednak bezbrzeżną, jak płaskie tundry Sybiru. Na skłonach i upłazach zielenieją hale, w zagłębiach ściekają wody i tworzą jeziora. Gęste lasy świerkowe odznaczają się niezwykle bujną wegetacją, a że gospodarstwo leśne w Norwegji zna jedynie przyrost naturalny, więc sprawiają wrażenie puszczy pierwotnej. Bogate podszycie kniei tworzą maliniaki, ogromne paprocie i różne szerokolistne rośliny. Wegetacja budzi się tu z początkiem czerwca i zaraz następuje upalne lato, kiedy to pod promieniami nieschodzącego prawie z widnokręgu słońca wszystko rośnie poniekąd w oczach. Często napotykamy wśród lasów rozległe, zazwyczaj podłużne, bagniste halawy, okolone wieńcem szkarłatnej sośniny, także na granicy zalesienia stoją pojedyńcze, krępe, sosny matki. Dróg po za bitymi gościńcami niema żadnych. Wszystko to: strome stoki, zarośnięte nigdy nie trzebioną gęstzwartych osiedlach na kształt naszych wsi. Chcąc się dostać bezpośrednio z jednej zamieszkanej doliny do drugiej, trzeba iść na przełaj przez góry i lasy bez drogi, kierując się kompasem, lub przyrodzonym zmysłem orjentacyjnym, który jest u tubylców wysoce rozwinięty Po za tą nieliczną ludnością norweską o stałem zamieszkaniu, znajdujemy jeszcze w okolicach Tröndelagen, jakie wymieniłem powyżej, ludność koczowniczą nazywaną przez norwegów Finer albo Lapper. Są to ludzie odmiennej, fino-mongolskiej rasy i różnią się powierzchownie od norwegów drobnym wzrostem, śniadą cerą, czarnym włosem i rysami wybitnie mongolskimi. Jedynym ich dobytkiem są stada całkiem dziko chowanych reniferów. Włóczą się z nimi w górach na pograniczu norwesko szwedzkiem, gdzie wolno im pasać na obszarach państwowych, i często przechodzą z jednej na drugą stronę. Zimą spędzają stada w doliny. Są jednak okolice np. Lierne, a zwłaszcza jak nazwa powiada Finlierne, gdzie znajdujemy ludność mieszaną.

Ustęp dotyczący polowania na łosie brzmi w demokratycznej ustawie łowieckiej, norweskiej, jak następuje:

„Jednego tylko łosia zezwala się ubić na każdej posiadłości, zapisanej oddzielnie pod jednym numerem hipotecznym".

„Na obszarach gminnych, jakoteż takich, które należą do kilku współwłaścicieli i nie są zapisane pod jednym numerem hipotecznym, król stanowi, jak ma być z polowaniem na łosie".

„W niezapisanych w księgach hipotecznych lasach i obszarach państwowych król stanowi, jak ma być z polowaniem na łosie".

„Na powyższych gruntach odstrzał łosi może być corocznie oddawany w drodze submisji".

„Ktokolwiek ruszy łosia na gruncie, na którym przysługuje mu prawo polowania, może go ścigać i ubić zwierza choćby na cudzem, z tem jednak, że obowiązuje się myśliwego przedstawić na żądanie dowód rzeczowy i że nie wolno oddać strzału na obejściu lub w ogrodzie innego właściciela".

„Polowanie na łosie dozwala się od 10 do 30 września". Następują różne ograniczenia dla poszczególnych dystryktów, redukujące czas odstrzału na 5 do 10 dni.

Ad 1). Należy zaznaczyć, że prawo nie robi różnicy co do rodzaju i że zatem prawnie można ubić byka lub klępę.

Ad 2 i 3). Jest to tylko forma tego znaczenia, że ilość odstrzału na danym obszarze określa się dorocznie ustawą, podlegającą sankcji królewskiej. Może ona także wprowadzić zupełną ochronę.

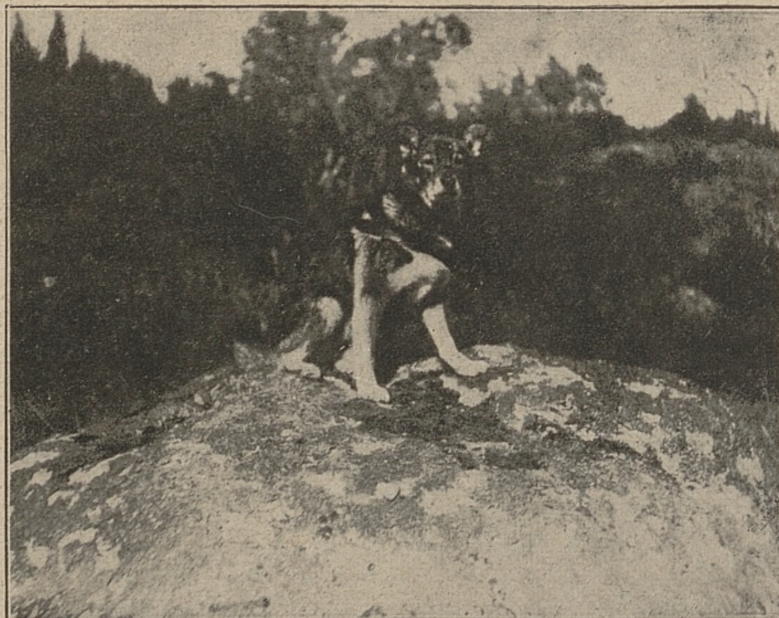
Ad 4). Odstrzał w obszarach 2 i 3 ogłasza się w urzędzie dystryktu. Reflektanci podają oferty w zamkniętych kopertach. Polowanie na rok oddaje się temu, kto daje najwięcej, lub też zdaniem urzędu, zasługuje na zaufanie. Reflektantów bywa zwykle niewielu, a jeśli ich jest kilku, to się zmówią, by jeden drugiemu nie przeszkadzał. Bywają to przeważnie agenci i pośrednicy. Zazwyczaj daje się 100 do 150 kronerów za sztukę odstrzału.

Ad 5). Takie i dużo temu podobnych zastrzeżeń norweskiej ustawy łowieckiej, jak np. prawo swobodnego ścigania drapieżników niezależnie od granic, sprawiają, że własność łowiecka staje się poniekąd iluzoryczną, a pojęcie kłusownictwa jako przestępstwa, prawie nie istnieje, skoro nikomu nie można zabronić przechodzenia z bronią przez własne łowisko, ani nawet strzelania, a fakt kradzieży łowieckiej trudno daje się dowieść. Z powodu jednak ogromnych obszarów kolizje bywają rzadkie i przyznać trzeba, że czasy ochronne, mimo braku kontroli efektywnej dosyć sumiennie są przestrzegane. Niektóre jednak i to najpiękniejsze rodzaje polowania, jak np. wysokogórskie polowanie na dzikie renifery na obszarach państwowych, stają się wręcz niemożliwe dla czudzoziemskiego sportowca z powodu konkurencji gminnych myśliwych.

Jakież wnioski możemy wyciągnąć z przeglądu powyższej ustawy?

1. Nie warto wynajmować kilku, choćby graniczących między sobą numerów hipotecznych, gdyż w rozległym takim rewirze, w którym z konieczności trzebaby się wciąż przenosić z miejsca na miejsce, za dużo by się straciło czasu na przejazdy, ani by się nie dało wykorzystać w krótkim czasie odstrzału.
2. Lepiej wynająć odstrzał w lesie rządowym, lub należącym do towarzystwa eksploatacyjnego. Zależy się jednak wtenczas od pośredników, z których nie wszyscy są zaufania godni.
3. Najlepiej oczywiście polować jako gość lub wspólnik myśliwego norweskiego. Mało komu jednak zdarzy się taka gratka.

W Norwegji polują na łosie za pomocą psa, którego też nazywają „elghund". Są to psy rasy niewątpliwie pierwotnej, zbliżone najwięcej do szpica polarnego. M. Potocki porównywa go z łajką syberyjską. Słusznie; uważam jednak, że budowy jest zwięźlejszej, niższy na nogach i ogon nosi odmiennie, mianowicie wzniesiony i nieco zakręcony w bok. Elghund



Elghund Storm. Fot. L. Rzyszczewski.

czystej krwi powinien mieć uszy stojące. Używa się do polowania prawie wyłącznie psy. Suki widać tylko u hodowców. Elghund norweski pełni służbę psa, zwanego w dawnem, klasycznem łowiectwie niemieckiem „Leithund". Miał on, prowadzony na smyczy, wskazać trop jelenia. Nazywało się to „den Hirsch bestätigen", a praca łowczego polegała na tem, żeby według śladu osądzić jakość jelenia i, o ile to był „ein jagdbarer Hirsch", za pomocą tegoż psa oznaczyć, w jakim ostępie się zatrzymał. Praca norweskiego psa jest dużo prymitywniejszą. Prowadzony na długiej smyczy przytroczonej do rodzaju szlej, ma on wskazać trop i doprowadzić myśliwego do zwierza. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że to ani trudne dla psa obdarzonego jakim takim węchem, ani dla myśliwego, który jako tako nogami przebiera. A jednak w kniei norweskiej wykonanie tego zadania sprawia myśliwemu tak wielkie trudności, iż programowe rozwiązanie udaje się stosunkowo rzadko, przy wyjątkowo sprzyjających warunkach atmosferycznych. Łoś norweski, bytujący na ogromnych, bezludnych przestrzeniach, zachował przymioty i tryb życia zwierzyny pierwotnej. Noc spędza, odpoczywając w ostępie, dzień, chodząc i żerując. W dobrą pogodę t. j. kiedy nie pada deszcz i wieje umiarkowany wiatr, łoś rusza z podgórskiego ostępu i nie śpiesząc się, zakosami kieruje się w góry. Na krańcu zalesienia zatrzymuje się długo, obrywając liście karłowatej brzeziny i wikliny. Wychodzi wreszcie na górskie upłazy, wynajduje tam jeszcze różne smakołyki, żeby się ostatecznie w godzinach południowych ułożyć gdzieś w dominującem miejscu, gdzie mu się otwiera rozległy widok. Leży tam i przeżuwa. Myśliwy nie potrzebuje tu zrywać się ze świtem, jak to kiedyś bywało na łowach poleskich, żeby o brzasku rozpocząć podchód albo wabienie. Wystarczy wyjść między ósmą a dziewiątą zrana. Dajmy na to, że to pierwszy dzień polowania. Przewodnik bierze psa i prowadzi z domu w miejsce, które mu się widzi „najpodobniejsze", licząc się przedewszystkiem z kierunkiem wiatru. Po jakimś czasie pies zdradza podniecenie, kładzie się w szleje i zaczyna taszczyć. Idąc za nim, natrafiamy niebawem na świeży odcisk ogromnej racicy. Przypuśćmy, że po naradzie z przewodnikiem zgadzamy się, że jest to godny byk, „stor oks", jak powiada norweg, i że warto iść za nim. Rozpoczyna się teraz robota. Przedewszystkiem chodzi o to, żeby łosia przedwcześnie nie spłoszyć w gęstwinie i nie zatracić śladu. Zgóry ostrzegam, że może się to udać tylko z psem, który mając świetny węch, pracuje górnym wiatrem. Jeżeli pies potrafi tylko ryć się po tropie z nosem przy ziemi, prawie napewno będzie klapa. Łoś, chociaż może któregoś dnia obrał ogólny kierunek zachodni, podczas kiedy wiatr wieje ze wschodu, przecież nie zapomina, że najcelniejszym jego zmysłem jest węch. Będzie się zatem przestawiał, kluczył i nieraz powracał równolegle do swego śladu, aby się przekonać, czy czasem kto za nim nie chodzi. Otóż, jeśli się idzie za psem prowadzącym wyłącznie po tropie, prędzej czy później musi nastąpić katastrofa, mianowicie myśliwy wyprzedzi kluczącego łosia. Skutek jest piorunujący. Nagle słyszy się po za sobą łomot uchodzącego zwierza bez możliwości dostrzeżenia go. A że łoś spłoszony idzie daleko, zanim się uspokoi i przystanie, widoki tego dnia są już bardzo nikłe. Pies kierujący się górnym wiatrem, w takim wypadku zawczasu zaznaczy bliskość zwierza gdzieś z boku i na przedzie. Jest to chwila krytyczna, w której pośpiech wszystkoby popsuł. Należy wtenczas posuwać się za psem z największą ostrożnością i możliwie cicho. Trudna to sztuka w dziewiczej kniei. Może jednak się uda i o ile las w tem miejscu nie zanadto zwarty, może ukażą się kontury łosia. Teraz tylko szybki i celny strzał rzutowy może rozstrzygnąć na korzyść myśliwego. Z drugiej strony, jeżeli ruszymy zwierza, pójdzie on jednak w obranym przez nas kierunku i nie wszystko jeszcze stracone. Przypuśćmy jednak, że nie było takiej przykrej komplikacji. Łoś niespłoszony powoli postępuje przed nami.

(C. d. n.). LEON RYZYSZCZEWSKI.



Karawana na stacji pocztowej. Fot. L. Rzyszczewski.



DWA POSTRZAŁKI.

Sosnowy, młody zagajnik poprzerastany liściastemi grupami gąszczów, był ulubionem miejscem spacerów moich, rankiem lub przed wieczorem.

Manlicher z lunetą służył mi przeważnie do oglądania spotkanych sarn. Czasem tylko spełnił on rolę broni myśliwskiej i huk strzału zakłócił ciszę leśną, kiedy ujrzałem psa — włóczęgę, lub kota.

Spotkanego rogacza strzelałem tylko z wyjątkowo pięknymi, kapitalnymi rogami.

Podjazdu na terenie tym nie było.

Ślady dawnych dróg, któremi drzewo wywożono, obecnie tworzyły więcej otwarte łuki w zagajniku, gdyż kultury i wszelkie podszyty słabsze były na nich, niż obok.

Dróżkami temi swobodnie można było posuwać się pieszo, obserwując, na więcej otwartych miejscach, spotkane sarny, których dość dużo przebywało w tym rewirze.

Miły to był teren wogóle na takie spacery, a w szczególności nadawał się on do wabienia rogaczy podczas rui.

Pewnego dnia, przed wieczorem, znalazłem się tam. Wolnym i ostrożnym krokiem, znanemi ścieżkami, posuwam się.

Badając więcej otwarte miejsca w zagajniku, wokoło bagienek, których dużo znajduje się po drodze, upatruję sarn. Gdzie wśród zieleni pokaże się czerwona plama, staję, składam się i przez lunetę sprawdzam ciekawie, jaką sztukę mam przed sobą.

Już w kilku miejscach spotkałem, to pojedyńcze, to po parę sztuk, ale przeważnie kozy, lub słabe rogacze. Dwa były szóstaki, ale tych strzelać nie chciałem. Znałem je już z widzenia, prawie wszystkie i zostawiałem je obojętnie, nie znajdując wybitnie dużych rogów.

Było to w początku rui. W tym okresie często zjawiał się jakiś przybysz z sąsiednich, dalszych rewirów. Każdego z tych gości poznawałem zwykle i pod koniec rui, o ile był wyjątkowo godny jako trofeum, — strzelałem.

Stoję na dróżce i przyglądam się jakiejś sztuce, spostrzeżonej w głębi zagajnika. Widzę bok tylko i zad. Pisnąłem lekko na wabika.

Łeb żerującej sarny szybko uniósł się do góry z uszami zwróconemi w moją stronę. Między uszami pusto. Koza!

Nagle w luce, wolniejszej od zarośli, w kierunku gdzie szedłem, ruszyło mi się coś płowo-rudego.

Nie odejmując sztucera, robię lekki zwrot w stronę, odczutej raczej, niż widzianej sztuki i w lunecie spostrzegam kozła, przyglądającego mi się bacznie.

Stoi nieruchomo w odległości około 80 kroków.

Szóstak, rogi duże! Strzeliłem!

Po opuszczeniu sztucera, widzę, jak w miejscu, gdzie przed chwilą na wyciągniętym boku rogacza szukałem komory, teraz rzucają się cztery czarnolśniące raciczki i błyskają nasadzone jakby na żółtych patykach, w wysokiej, zielonej trawie.

Im bliżej podchodziłem, ruch w trawie ustawał, a kiedy znalazłem się blizko, rogacz rozciągnięty leżał już bez ruchu.

Sztuka duża; rogi niezłe; ślad kuli na wysokiej komorze.

Pragnąc dokładniej przypatrzeć się, opieram sztucer o pieniek, za leżącym kozłem.

Podnoszę łebek do góry, aby przyjrzeć się szczegółowo rogom. Są one wysokie, silne, tylko o słabym, jasnym kolorze i brzydko rozłożone.

Obmyślam — gdzie umieszczę je w kolekcji, obok których, wiszących już na ścianie, będą pasowały?

Ciekawy śladu kuli, po stronie wyjściowej, unoszę bezwładny łebek i odwracam sztukę na drugą stronę. Kozioł, leżący dotąd nieruchomo, bez znaku życia, teraz grzebnął badylami tak energicznie, że ziemia silnie posypała się z kretowiska; sam przytem podrzucił się o parę cali naprzód.

Znowu leży spokojnie. W miejscu, gdzie kula wyszła, widać wyrwany, duży otwór wysoko w górze komory, aż bieli się w ranie wierzch kości łopatkowej.

Przypomina mi się czynność, zwykle praktykowana po zabiciu rogacza i, chcąc przystąpić do niej, otwieram scyzoryk. Kiedy zbliżyłem się do kozła i podniosłem mu tylną piszczel, wyrwał mi ją z ręki i całym zadem zaparł się znowu o ziemię, przyczem przód ponownie pośliznął się dalej po trawie.

Zdziwiony, patrzę, jak po raz trzeci pchnął się zadem i grzebnął w kretowisko, sypiąc ziemię na sztucer i lunetę. W obawie zanieczyszczenia zamków, przenoszę sztucer do pniaka o 6 kroków dalej. Lokuję go bezpiecznie i słyszę ponowny rzut kozła.

Wracając, widzę jeszcze raz, jak podrzucił się, po-

dobnie do ryby, przyczem stale zachowywał pozycję, leżąc na boku. Obecnie wtłoczył się już w trawę, pod gęsty krzak.

Myślę, co robić dalej.

Wjechać tu, nawet wązką linijką, nie można.

Normalnie, w podobnym wypadku, wracam do pobliskiej drogi, a furman uwiązuje konia i idzie ze mną po zabitego rogacza.

Teraz boję się zostawić tak ruchliwego kozła. Głośno wołać furmana nie chcę; nie lubię z natury hałasować w kniei.

Tymczasem trzymając jeszcze scyzoryk, drugą ręką wyciągam kozła z pod krzaka.

Po pociągnięciu go nieco, widzę, że naprawdę wstępuje w niego jakaś siła. Mógłbym użyć scyzoryka, ale fangowanie takie byłoby niemiłem kłóciem, więc scyzoryk odrzuciłem tembardziej, iż muszę mieć wolne ręce, aby schwycić za rogi, wijącego się kozła, który skręcił się podemnie sprężystym ruchem i począł się szarpać.



Przed Żółtą Karczmą; właściciele i psy.
(Do art. „Żółta Karczma"). Fot Z. Tarnowski.

Trzymam coraz mocniej; ręce mam już w kilku miejscach skaleczone i obdarte do krwi ostrymi parostkami. Teraz zaczepił mnie nimi boleśnie za nogę, rozdzierając spodnie.

Oddycham, ziając z wysiłku i trzymam mocno do ziemi skręconą szyję rogacza.

Przychodzi mi na myśl opowiadanie o skręcaniu karku zwierzęcia w podobnych wypadkach; nie wiem, jak się to robi prawidłowo, ale oto odczuwam właśnie skutki silnego trzymania w tej pozycji, skręconej szyi kozła, który nietylko przestał już rzucać się, ale widocznie osłabł i rozciąga się bezwładnie.

Mogłem już puścić go z rąk. Dysząc po wysiłku, stoję, patrząc na leżącego bez ruchu.

W czasie kiedy szukałem odrzuconego scyzoryka, kozioł mój ruszył się nagle dość energicznie.

Pozostaje mi tylko dostrzelić go wreszcie i z tą myślą idę po sztucer, od którego znacznie już dalej jesteśmy. Wracam, wprowadzam nabój w lufę, w czasie czego kozioł znalazł się już pod tym samym gęstym krzakiem. Zakrywają go liście od mojej strony.

Daję parę kroków w prawo, aby znaleźć miejsce do strzału; kozioł rzutem ukrył się znowu.

Omijam nową zasłonę. Widzę: jest on już gdzieindziej Przechodzę obok; rzucił się silnie w gąszcz jeszcze dalej.

Zmieniam miejsce, upatruję celu z podniesioną już bronią do twarzy.

Słyszę dwa susy przed sobą. Szybko tam podchodzę; susy coraz częściej powtarzają się, to w lewą stronę, to w prawą.

Śpieszę, szukając momentu, aby strzelić.

Szelest, za którym śledzę, coraz dalszy, coraz szybszy i mimo pościgu, przestrzeń zwiększa się między nami.

Przystanąłem zmęczony i zdumiony; nasłuchuję oddalającego się szelestu, uchodzącego kozła, aż ucichło zupełnie.

Pocieszam się, że niedaleko padnie.

Odnalazłem trop, a właściwie miejsce, którędy wlókł się po dużej trawie, gdzie gniótł ją pod sobą i farbował miejscami.

Im dalej, tem ślad stawał się mniej wyraźny i w końcu niepodobieństwem było posuwać się po tropie, tembardziej, że poczęła się ściemniać.

Krążyłem jeszcze czas jakiś w miejscach, skąd dochodził mnie ginący szelest uchodzącego zbiega, mając nadzieję ujrzenia go, leżącego gdzie w trawie.

Nadzieja jednak nie ziściła się.

Ciemności uniemożliwiły dalsze poszukiwania i udałem się do pozostawionej linijki.

Po drodze, oblizując sobie rany na dłoni i palcach, wywnioskowałem przytem, że trzymając kozła za rogi w rękach, zawcześnie było planować, w którem miejscu rogi te wisieć będą na ścianie.

Stangret, oczekujący na mnie w miejscu zbiegających się dróg, nie widział, aby przeszło coś z zagajnika, więc liczę, że i postrzałek może pozostał. W każdym razie, nazajutrz, skoro świt, z gajowymi i z ludźmi z folwarku byłem już na miejscu i w sześciu, przy pomocy pieska, przeprowadzaliśmy ścisłe poszukiwania — jednak bez rezultatu.

Często zapytywałem pastuszków, pasących bydło po lasach, potem ludzi zbierających jagody i grzyby, ale nikt żadnych śladów poległego rogacza nie znalazł.

Kręcąc się nieraz potem po zagajniku, badałem, czy nie zwęszę psującego się mięsa.

Nigdzie nikt nie znalazł, ani nie słyszał o znalezionym koźle.

Po niefortunnem zajściu z rogaczem, pocieszała mnie nadzieja, że mógł wygoić się z rany i chodzi zdrowy, o ile nie nastąpiła gangrena.

***

W innym rewirze, w dwa lata później, na podjeździe, również w czasie rui, od świtu włóczyłem się po lesie, wiadomemi dróżkami. Klacz znała je także i ciągnąc linijkę wolnym stępem, wiedziała, gdzie skręca się zwykle, i obchodziła większem kołem na zakręcie, aby nie zawadzić osią o drzewo.

Chłopiec, który jeździ ze mną stale, trzyma lejce, dla zwyczaju tylko; sam upatruje sarny po wskazanej mu stronie, a ja wtedy przeciwną stronę mam na uwadze.

Czasami sam zobaczę wśród zieleni rudą plamę koloru suchego igliwia i poznaję kształt sarny, lub

chłopiec umówionym gestem zwróci mi uwagę na spostrzeżoną sztukę.

Wtedy, nie zatrzymując linijki, daję krok ze stopnia, kryjąc się za upatrzoną jaką zasłonę i stamtąd przyglądam się stojącemu zwierzęciu, które całą uwagę zwraca w stronę posuwającej się podjazdki.

Kiedy sztuka nie nadaje się do strzału, trzebaby pieszo podejść w stronę linijki, wtedy, albo zatrzymaniem się konia, albo ruszeniem się mojem z miejsca, spłoszone sarny skaczą w las.

Aby uniknąć tego płoszenia, wyuczyłem chłopca, żeby znalazłszy swobodne miejsce, gdzie zakręcić można zwrotną linijkę, — zawrócił i tem samem tempem jechał do mnie. Wówczas też nie zatrzymując podjazdki, siadam i jadę dalej, pozostawiając w spokoju niespłoszone sarny.

Tak jeżdżąc, miałem parokrotną emocję, połączoną ze zsiadaniem, ale do strzału nie wybrałem żadnej sztuki. Wszystko, albo kozy, albo nieodpowiednie rogacze.

Już późno, słońce dość wysoko. Podjazd kończy się. Zamierzam wracać do domu.

Zatrzymujemy się; chłopiec poprawia coś przy uprzęży. W czasie tego usłyszałem głosy jakieś, dochodzące z gąszczów liściastego podszycia lasu z odległości paruset metrów. W pierwszej chwili wziąłem to, za skomlące poszczekiwanie psa; chwilami jednak słyszę odmienny, żałosny pisk jakiś. Nasłuchuję ciekawie i poznaję po skarżącym się lamencie, boleśnie na rozmaite tony wydawanego głosu, że piski te muszą być sarnie. Domyślam się możliwości dramatu, jaki często odbywa się w kniei, wśród sarn podczas rui. Trochę więcej jeszcze zaciekawiają mnie tak spotęgowane, żałosne krzyki i jęki.

Pragnę się dostać jaknajbliżej miejsca tego; nie wiem, czy pomogę krzywdzonej ofierze, ale ciekaw jestem podpatrzeć, co się tam dzieje.

Piechotą, drąc się przez gąszcze, spłoszyłbym pewnie widowisko.

Szukam sposobu dojechania, możliwie najbliżej.

Znajdujemy ślad starej już, nieużywanej dróżki, która wiedzie w pożądanym kierunku.

Klacz toruje sobie przejście wśród zwisających gałęzi liściastych nad drogą. Łeb wciska w zieloną sieć gałązek i czując, że giętkie ustępują, wciąga nas w tunel obfitej zieloności.

Giętkie pręty, po zawadzeniu, odprężają się i spadają na nas, jak uderzenia bata. Aby uniknąć tego, łowiemy je rękami, kuląc głowy w ramiona.

Wydostajemy się z gąszczu na więcej otwartą dróżkę. Od strony, skąd już coraz rzadziej słychać piski, przez dróżkę wpoprzek, przed klaczą, przesunęła się powoli czerwona sylwetka zwierzęcia. Spostrzegam rogi szóstaka.

Linijka jedzie dalej, a ja zeskoczyłem i wypatruję rogacza. Nigdzie dojrzeć nie mogę; musiał pójść dalej, nie zatrzymując się.

Jestem teraz naprzeciwko miejsca, gdzie chciałem się dostać. Wkrótce usłyszałem za sobą intrygujący mnie pisk. Odwracam się i mimo pomocy lornetki, nic nie widzę.

Podczas tego chłopiec zawrócił już i podjeżdża do mnie. Widzę, jak patrzy w bok, po za mnie i głową podrzuca znacząco, wskazując mi coś wzrokiem.

Ręką nieznacznie kiwam, aby jechał dalej. Sam chcę tu dłużej pozostać, dobrze ukryty.

Mijając mnie, chłopiec odwrócił jeszcze oczy i szepnął: — Kozieł!

Badam znowu gąszcza i ujrzałem istotnie niedaleko, z boku stojącego kozła. Szpicak, ale o niezwykle długich i grubych pałkach, gładkich oraz tępo zakończonych.

Do kolekcji rogi ciekawe, ale szpicaków nie strzelam z zasady. A i uwagę swoją zmuszony jestem zwrócić w inną stronę, bo wprawo przedemną poruszyło się coś nisko w jagodniku.

Podnoszę lornetkę i spostrzegam, jak wstaje koza, wydając znany mi, bolesny pisk.

Na prawem udzie czerwieni się zafarbowana plama. Ruchami niedołężnymi, jakby potłuczona, pociąga się, mocno kulejąc i kryje mi się za gęsty krzak



Podwórze Żółtej Karczmy.
(Do art. „Żółta Karczma"). Fot. Z. Tarnowski.

leszczyny. Szpicak, spostrzegłszy ją, chciwie udał się w tę stronę, poczem znowu bolesny głos lęku usłyszałem.

Ogaisty krzew zasłaniał mi widok; chwilami tylko ujrzeć mogłem z jednej lub drugiej strony, wysuniętą część czerwonej sylwetki, póki się ponownie za krzakiem nie ukryła. Szmery ruchów 2-ch sztuk, tam zasłoniętych, przeplatane były bolesnym, trwożnym piskiem skarżącej się kozy. Wzmogły się one jednocześnie, kiedy z boku sutej zasłony liści ukazał mi się przez chwilę nad jagodnikiem przód trzeciej, niespodziewanej sztuki, nad której oczami wyraźnie zauważyłem rogi szóstaka.

Że biedna koza przypuszczalnie była bita, to nie ulegało wątpliwości, gdyż stan jej na to wskazywał.

Ciekaw byłbym widzieć, który z krewkich asystentów większą krzywdę jej zadaje; szpicak, czy szóstak, oraz czy obaj pomiędzy sobą biją się również?

Niektóre spostrzeżenia, z więcej wyobrażanej sobie, niż wyraźnie widzianej sceny, dawały mi do myślenia, że do siebie też wrogo odnosili się wzajemnie dwaj rywale. Zobaczyłem znowu szóstaka, który szybszym ruchem powtórnie posunął się do pozostałych; wywołało to bolesny jęk za krzykiem; nie wiem tylko, czy wydany przez kozę, czy przez szpicaka.

Kiedy szóstak, po raz czwarty, czy piąty, odsadzał

się w tył z zamiarem zaatakowania i pokazał mi się cały do boku, strzeliłem, mierząc na komorę.

Cztery badyle grzebnęły nad trawę w miejscu, gdzie stał przed chwilą.

Jednocześnie mignęły mi w prawo dwie czerwone plamy, reszty spłoszonej strzałem kompanji.

Podchodzę do leżącego już bez ruchu rogacza. Znak od kuli w dobrem miejscu.

Unoszę rogi, uznając, że są grube, ciemne, nieźle uperlone ,ale brzydko rozłożone, z końcami jasnymi, ostrymi, ale bardzo krótkimi.

Na jednym parostku spostrzegam kępkę szerści, przylepioną na zaschłej farbie.

To pociesza mnie, że choć trofeum nie tak piękne, lecz zgładziłem pewnie w nim szkodliwego rozbójnika.

O 30 kroków z boku, nagle dosłyszałem śmiałe, wyzywające beknięcie. Dostrzec nie mogłem, czy to odezwał się znajomy szpicak, czy inny rogacz?

Co ciekawe, że na głos ten, tuż przy mnie leżący dotąd, jak bez życia, na boku rozciągnięty, uniósł tułów wraz ze łbem do góry i legł na podwiniętych pod brzuchem nogach.

Po następnem beknięciu, usłyszanem z pobliskiego gąszczu, kozioł mój, raźno łeb uniósł, a ja patrzę zaciekawiony, co się stało? i co dalej będzie? Głównie, co zamierza robić, niespodziewanie ożyły.

Gapię się, nie zdając sobie sprawy narazie i nie przewidując dalszych następstw. Zapomniałem o poprzedniej nauczce, która poszła w las.

Dopiero kiedy zdobycz moja dała dwa silne susy, przy ziemi wprawdzie, ale posuwając się szybko; wprowadziłem kulę w lufę i złożyłem się do strzału. Gdybym wiedział, że z rany wygoi się, zaniechałbym strzału, ale nie chcąc, aby śmiertelnie według mnie, raniony zwierz zginął gdzieś w gąszczach, postanowiłem dostrzelić uciekającego.

Już coraz wyżej nad ziemią prostujący się na nogach, czerwony kadłub widzę w rzutach co raz szybszych i przerywanych coraz krótszemi pauzami.

Już miałbym możność strzelania na widoczniejszem miejscu, ale spostrzegłem na drodze, tuż nad celem, klacz, a za nią chłopca na linijce, którą podjechał ku mnie.

Bałem się strzelić, wobec tego czekałem na sposobność strzału za drogą.

Pomimo iż podbiegłem, chwytając moment odpowiedni, zobaczyłem ostatni sus kozła z drogi w zieleń liściastą, i znikł tam z oczu moich.

Trzymając już opuszczony sztucer, słuchałem tylko, jak oddalał się szelest w niskiem podszyciu, szarpanem co raz energiczniejszymi susami.

Chłopiec podjechał bliżej do mnie i z przerażoną miną oznajmia mi szeptem: „To koza!".

— Gdzie koza? — pytam, nie rozumiejąc go.

— Tam, gdzie zakręcał, — objaśnił mnie — przybiegła po strzale i upadła ze złamaną nogą.

— Ale to... koza! — powtórzył nieśmiało jeszcze raz.

Zrozumiałem, że chłopiec, widząc bezpośrednio od kierunku strzału uchodzącą kozę ze złamaną i zafarbowaną nogą, wystawił sobie, że zaszła jakaś pomyłka fatalna, a przewidując, iż byłbym nią niepocieszony, nie wiedział, jak mi to oznajmić.

Rozmyślając nad drugim holszusem w swojej myśliwskiej praktyce, szukałem niedługo zbiegłego rogacza. Nie mogłem ani tropu odnaleźć na trawie i wśród jagodników, farby też ani znaku, a że przytem udał się w kierunku gąszczu beznadziejnego do poszukiwania, więc wróciłem do domu.

Ze spostrzeżeń wnoszę, iż kozie asystowały 3 lub 4 rogacze. Jeżeli niewidzialny, beczący, był ten sam szpicak, wtedy 3; ale sądząc z grubego silnego głosu, był to rogacz starszy, czyli czwarty. W każdym razie biedna koza, mając powodzenie, ucierpiała od natarczywych, brutalnych napastników. Żałuję, że dokładniej nie mogłem podpatrzeć zachowania się bohaterów tej przykrej sceny.

O wyrządzone kalectwo kozy największe mam poszlaki, obciążające strzelonego szóstaka.

Musiał to być przybysz z dalszych okolic, gdyż swoje rogacze znałem, chyba wszystkie „osobiście".

Po drodze sprawdziłem, że kozy niema w miejscu, gdzie padła, według zeznań chłopca; pewnie poszła jeszcze dalej w pobliskie kultury.

Objaśniłem chłopca, jak było; dałem mu wskazówki i następnego ranka poszedł on z czterema ludźmi z folwarku, wiedząc już, gdzie i jak szukać należy.

Długo i dokładnie szukali. Znaleźli tylko biedną kozę nieżywą już, leżącą niedaleko miejsca, z którego ostatnio ruszyła. Potłuczona była i pokryta cała rysami od ostrych parostków.

Przypuszczalnego sprawcę tej zbrodni, przestrzelonego kulą na wylot — nie znaleziono nigdy.

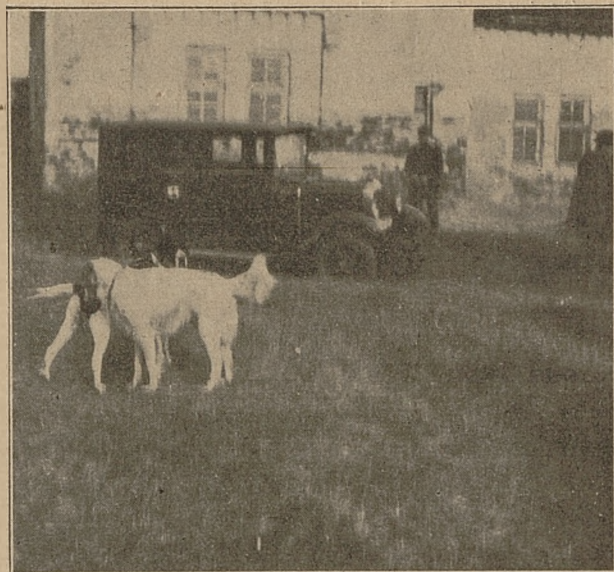
* * *

Jak wiemy, jeleń na rykowisku jest najtwardszy w tym okresie do zabicia.

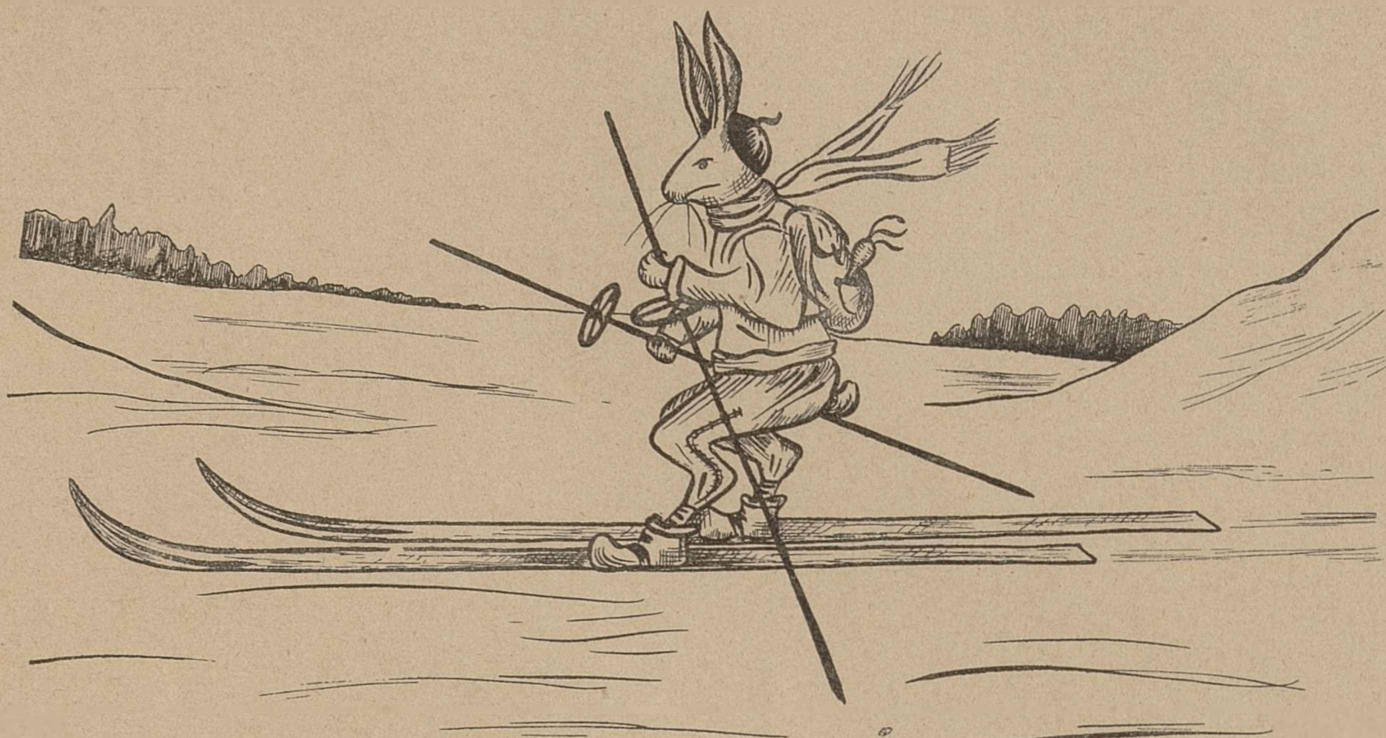
Twierdzę stanowczo, iż rogacz w czasie rui również ma więcej sił żywotnych, niż w innym sezonie. Sądzę, że te same rogacze, o których wspominam, tak samo strzelone, nie podczas rui, nie znalazłyby tyle siły, aby mogły ujść bez możności odnalezienia ich.

Po wypadkach tych zrozumiałem lekceważone dotąd przezemnie zaopatrywanie się niektórych myśliwych w kordelas lub nożyk do fangowania rogaczy.

STANISŁAW LESKI



Pierwsza znajomość.
Nowoprzybyły „Jaskier", setter ang. p. St. Ocetkiewicza i „Rap" red. W. Garczyńskiego.
(Do art. „Żółta Karczma"). Fot. Z. Tarnowski.



Po sezonie — ja się bawię. Rys. Bekierowski.

POJEDZIEMY NA ŁÓW...

J. W. P. sędzia Podkolanko (frywolne to nazwisko było jakoby powodem, krótkotrwałych zresztą, wahań ze strony władzy przy akcie nominacyjnym) przybył do biura z niekoniecznie małem, ale znów nie tak i dużem spóźnieniem. Powiedzmy — z wystarczającem.

Z trudem i abominacją (kichnął dwukrotnie), przebrnął przez zwarte i zapowietrzone falangi oczekujących w sieni klijentów i nim domacał się klamki, zdążył był uskrzydlić trafną myśl, że tak ciasny przedsionek w gmachu powiatowej Temidy ma swoje dobre strony: grzesznik tu kruszeje poniekąd, staje się skłonniejszym zarówno do pojednania, jak i zeznań,— wreszcie, co nigdy nikomu nie zaszkodziło, nabiera przedsmaku kary.

W biurze kichnął po raz trzeci i mruknął: „A to, psiakrew, tego!" — poczem zatarł zziębnięte („zgrabiałe", jak słusznie mówią nasi kmiotkowie) ręce, odsapnął i zapadł w czeluście fotelu z pojękiem niesłusznie maltretowanych od półwiecza, sprężyn.

Bez cienia przychylności — jeno kątem oka — objął systematycznie spiętrzone, błękitne stosy bibuły sądowej i ziewnął z wylaniem.

W trakcie tego zauważył i zawładnął złożoną we dwoje kartką papieru.

— „Hm!... JWP. Sędzia Pod... tak... co to?".

Tu oblicze sędziego nagle się rozjaśniło, niby matowa, zielonkawa ampla po przekręceniu kontaktu— „polowanko u Zawiłka?... aha... punkt zborny... Parchatka, obok gajówki, siódma rano... Kiedy? 22-go? to już jutro... dobra!".

W tej chwili wszedł młodzieniec, ubrany ciemno i chędogo, jak wszyscy sekretarze na kuli ziemskiej i sędzia, nasrożywszy się, jął przypinać zieloną wstęgę do swej ciepłej kamizelki.

Załatwiwszy z dużą rutyną (ś. p. ojciec pana sędziego był też sędzią) kilkanaście spraw i odłożywszy tyleż na potem, sędzia około trzeciej po południu wyszedł do miasta, aby z całą ostrożnością zasięgnąć języka, rozumując nie bez słuszności, że o randkach i zaproszeniach na łowy mówić głośno nie należy.

Zaraz obok sądu spotkał mecenasa Brodawkę, zajmującego się tresurą nowiutkiego kapelusza. Pragnął on (kapelusz) poigrać z zefirkiem, uprzykrzywszy sobie kulistość czaszki, czy też markę pomady na porost bujnych włosów. Sytuacja była o tyle utrudniona, że mecenas trzymał pod jedną pachą tekę z aktami, pod drugą zaś, djabli wiedzą po co, parasol. W zimie parasol?!

— Czy mecenas łaskawie zauważył, że obok publicznych gmachów zawsze panują silne przeciągi? — zagadnął uprzejmie sędzia.

— W wysokim stopniu... sługa najniższy... co za przeklęty wicher!

— Może jaki — broń Boże — klijent mecenasa obwiesił się roztropnie przed uregulowaniem rachunku? — ciągnął sędzia.

— Nie sądzę... nie... co za pogoda!

— Czy mecenas nie wybiera się na jakieś polowanko?

— Hę? a bo co? jest gdzie polowanie? Co — czepiał się mecenas rękami i nogami.

— Ehe-he... — pomyślał sędzia — nie masz zaproszenia, kochanku! Dziwna rzecz, bo Zawiłek zawsze go prosi. Widocznie urządza coś dla wybranych. Elita!

Pośpiesznie pożegnał mecenasa i powędrował dalej.

Włóczęga ta okazała się bezcelową. Ani cukiernia, ani ulica, ani handelek Matejasa, gdzie omawiano i obmawiano wszystko i wszystkich ze szczegól-

nem wyróżnieniem dla spraw myśliwskich, — nie dały absolutnie żadnej wieści.

Znużony sędzia powlókł się ku domowi na obiad.

— Rozumiem — mruknął do siebie, — parę strzelb tylko: starosta, ja, pułkownik Piszcz, może ktoś z departamentu lasów... tak, tak!

Z lekkiem westchnieniem, że oto niema z kim podzielić się kosztami wynajętej furmanki, sędzia zasnął i nazajutrz przed świtem, spowity w ciepłą burkę i niezbyt ciepłe mgły poranne, wyruszył ku Parchatce.

Drogi nasze są tego rodzaju, że opisywać ich ze względów patrjotycznych się nie godzi, natomiast przesypiać je należy, co też sędzia, stary praktyk, uczynił w zupełności.

Obudził się wśród ośnieżonych lasów na jakimś potężniejszym wyboju, stuknąwszy głową w plecy opatulonego woźnicy.

Ten podobnie się obudził, naelektryzował batem koniki i po małej chwilce towarzystwo zajechało przed gajówkę, płosząc ciszę i kilka wron.

Sędzia wysupłał się z powijaków, wysiadł i rozejrzał się dokoła.

Właśnie z obórki żwawo wybiegła kobiecinka z wiadrami, zmierzając ku studni.

— Czy wy, kobietko, z gajówki?

— A ino... taże z gajówki!

— A gdzie mąż? poszedł po naganiaczy — co?

— Ta i poszedł... jeszcze ciemno było, ale gdzie i po co? bo to chłop powie? poszedł i tyle!

— Niezawsze i baba powie chłopu, dokąd się wybiera — zauważył sędzia z porozumiewawczym uśmieszkiem.

— A bo to prawda! — zaśmiała się gajowa.

Na to sędzia przybliżył się do studni i zaczął dość zawile udowadniać gajowej, że pokazanie kolana przed polowaniem jest aktem, który, bez żadnej szkody dla właścicielki tegoż, może dostarczyć zainteresowanemu nieobliczalnych korzyści, nie mówiąc już o estetycznych wzruszeniach, jakie... Tu gajowa pozostawiła do połowy wypełnione wiadra wraz z sędzią i poprostu czmychnęła.

— Albo nie zrozumiała, albo zapomniała się wykąpać, albo cnota kiełkuje w tym zakątku... w dodatku podczas zimy — skrzywił się sędzia i momentalnie zaczął się nudzić.

Krążył dokoła gajówki, dwukrotnie napił się wódki z furmanem, spoglądał na zegarek, aż wreszcie, zniecierpliwiony, wyciągnął broń z futerału, nabił i z palcem na cynglu zagłębił się w świerkowe kultury, rozciągające się tuż za budynkami i kuszące oko swą tajemniczą krasą.

Brodził tu około godziny i zdążył się już był porządnie zmęczyć, bo i śnieg sięgał do kolan. Obejrzał się. Gajówka znikła bez śladu. Prócz monotonnego postukiwania dzięcioła i dalekiego cmoktania kwiczołów, żaden odgłos życia nie mącił zimowego snu lasów. Sędzia przystanął i zawahał się: iść dalej, czy wracać?

W tym momencie z pośród włochatych jałowców wywinął się zając. Już sprężystym susem mignął ponad zwaloną sosną, już żeglował w zawianej wyrwie, już strząsał puchy śnieżne z młodych świerczków, prąc ku zwartej ścianie drągowiny, — kiedy zapatrzony sędzia oprzytomniał i palnął dwukrotnie.

— Bach — bach!

Jednakże koty musiały być twarde w bieżącym roku i sezonie, bo i ten oto wywrócił kozła, ale wnet się poprawił i uparcie kicał w obranym kierunku.

Ale i sędzia wziął największy, wprost nielicujący z wiekiem i powagą stanowiska, rozpęd.

W biegu sprawnie nabijał broń i walił raz po raz. Dopiero po siódmym strzale znudzony zając dał się złapać i załadować do siatki.

— A kto to panu pozwolił polować? — ozwał się tuż nad uchem pochylonego przy tej operacji sędziego jakiś, nieprzyjemny w swej głębokości, bas.

Wzdrygnął się sędzia i zerwał na sztywniejące, a więc równe, nogi.

Dwóch wypasionych i rosłych drabów w urzędowych czapkach z dubeltówkami stało obok. Jeden z nich miał tak długie wąsy, jakie można jeszcze niekiedy spotkać u burmistrzów w zapadłych kątach naszej ojczyzny.



Zaproszenie do zabawy.
Toffi (foxterjer ostr.) p. Zofji Knothe, Jaskier p. Ocetkiewicza i Rap red. W. Garczyńskiego.
(Do art. „Żółta Karczma"). Fot. Z. Tarnowski.

Ale sędzia wysiłkiem woli opanował wzruszenie:

— Jakto kto pozwolił? Dziwne pytanie! Jestem zaproszony na dzisiaj przez pana nadleśnego Zawiłka!

— Na dzisiaj — warknął z powątpiewaniem wąsal. — Dzisiaj niema tu żadnych polowań!

Ale sędzia zaczął już prychać:

— Co to znaczy niema! Ja jestem Podkolanko, sędzia z Zakłodzia, i jeżeli mówię, że jest, to jest!

— Bardzo przepraszam pana sędziego, ale i ja — niby nadgajowy — i ten oto tutaj, gajowy wracamy właśnie od pana nadleśnego i wiedzielibyśmy coś o polowaniu — nie? — A zresztą — dodał — gdyby nawet ono i było, to jeszcze nie samopas, nie na pomyka, bo przecież...

— O, do djabła! — pomyślał sędzia — tak sobie wyszedłem, nie mogąc się doczekać ani myśliwych, ani naganki... i nie przypuszczam, ażeby pan nadleś-

ny, którego doskonale znam, zabroniłby mi tej niewinnej... tego...

— Może pan sędzia będzie łaskaw pokazać mi to zaproszenie! — zaproponował nadgajowy.

Sędzia wyszperał z kieszeni kartkę (chwała Bogu, że ją wziąłem! — pomyślał z ulgą) i podał ją wąsalowi.

Ten z całą urzędową powagą odczytał dokument raz i drugi, przyczem sędzia nie bez otuchy zauważył, że wzrok służbisty nieco poweselał.

— Nie ma pan sędzia innego zaproszenia, bo...

— Bo co? — żachnął się sędzia.

— Bo to, co tu widzę, jest zeszłoroczne... proszę.. wyraźnie stoi: nadleśnictwo Starowyż, dwudziesty drugi listopada, 192.. r.... Polowanie to odbyło się akurat przed rokiem.

— Tak, roku! — dodał gajowy — ja pamiętam... było w obrębach Bóbrka i Kozodawy.

I obaj, jak na komendę, jęli pilnie wpatrywać się w sędziego.

Sędzia oniemiał, potem spojrzał na kartkę.

— Rzeczywiście! A niech to wszyscy djabli! Ale skąd ten papier u mnie na biurku, no skąd, pomyślcie panowie!

„Panowie" pomyśleli chwilkę i wzruszyli ramionami.

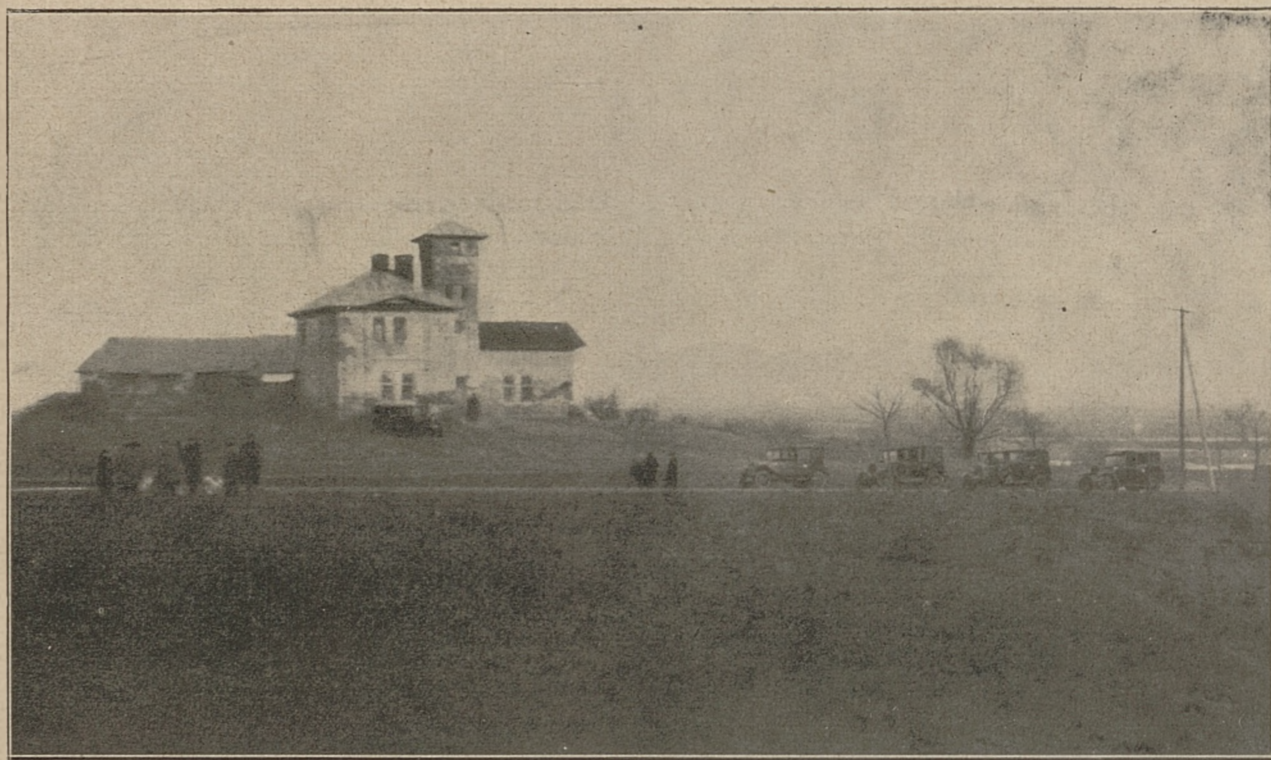
— Musiał woźny, bałwan, gdzieś go wyszperać i położył na biurku. Napewno! (Sędzia wpadł w ferwor i krzyczał, potrząsając papierkiem).

— Tak, to tak! — przerwał nadgajowy — jednakowoż prosimy pana sędziego bez obrazy pofatygować się z nami do nadleśnictwa. To niedaleko... bierzcie zająca, Ignacy!

— Ależ z przyjemnością! nawet możemy pojechać... mam tu konie! (nadmieniam skromnie, że są przecież na świecie większe przyjemności).

Oczywiście, sędzia wrócił do domu cały i z zającem. Wrócił nawet bardzo późno i pod dobrą datą. Ale, że niechętnie opowiada o tem zdarzeniu, przeto uważałem za swój święty obowiązek wyręczyć go pod tym względem, zrzekając się wzamian wszelkich autorskich pretensyj.

EDWARD NIEDZIAŁKOWSKI.



W niedzielę przed Żółtą Karczmą. Fot. Z. Tarnowski.

W ŻÓŁTEJ KARCZMIE.

(Djalog z Rapem).

— Jak się pan ma, panie Rap, to pan teraz tutaj?

— Musiałem się tu przeprowadzić. Wprawdzie u mnie w domu było mi bardzo dobrze, ale pobyt tam groził mi, że się przeistoczę w pokojowego psa. Rozumie pan, że mając aspiracje do championatu, nie mogłem do tego dopuścić. To też na współkę ze swym bratem Stopem i siostrą Primą, suszyliśmy głowę naszym panom, aby koniecznie przeprowadzili, żeby Towarzystwo Hodowli Psów Myśliwskich otworzyło dla nas zakład, poświęcony tresurze i hodowli, gdyż inaczej, mimo najlepszych chęci, nie moglibyśmy naszym zadaniom sprostać. Obecne warunki naszego życia w dużem mieście są tak straszne, że mi się niedobrze robi na samo wspomnienie. Samochody i walka ze wścieklizną, którą podobno się prowadzi, pozbawiły nas zupełnie możności jakiegokolwiek ruchu, a produkty spalania benzyny, któremi przepełnione jest obecnie powietrze

w wielkich miastach, może skutecznie działają na niszczenie insektów, ale jednocześnie psują nam węch, który dla nas jest tem, czem głos dla śpiewaka. W wyniku więc naszych zabiegów, doprowadziliśmy koniec końców do tego, że Żółta Karczma została otworzona.

— Ilu też panów jest i jak się panowie czują?

— Obecnie jest nas kilkanaście sztuk, reprezentujących elitę psów myśliwskich Polski. Po za psami p. Antoszewskiego, który niedaleko od nas posiada własną psiarnię, w Żółtej Karczmie znajdują się wszystkie psy, które na dotychczasowych próbach polowych w Wilanowie przeszły do klasy zwycięzców. A więc: Rek p. Stelińskiego, Prima p. Brudnickiego i ja. Prócz tego, z mego rodzeństwa są: Stop d-ra Bielawskiego. Extra (Primula) p. Brudnickiego i Lor p. Kwapińskiego. Settery irlandzkie są reprezentowane przez Rod'a i Azę p. Kirchmayera, zaś settery angielskie reprezentuje „Jaskier" p. St. Ocetkiewicza.

A jak też reprezentowane są w Żółtej Karczmie psy ras niemieckich?

— Jest ich kilka; w stosunku jednak do nas, psów angielskich, znikoma liczba. Przyznam się panu, że ciekaw byłbym zobaczyć naprawdę dobrego psa niemieckiego z rodowodem. Dotychczas znam te psy tylko z teoretycznych opisów ich wielbicieli w „Łowcu Polskim". Na próbach polowych nie udało mi się dotychczas spotkać prawdziwego rywala. Ale co tam! Czekajmy, co nam w przyszłości pokażą.

— A jaki też panowie regime prowadzą?

— Regime w Żółtej Karczmie jest bardzo ostry. Cały dzień musimy być na dworze i w ruchu. Otrzymujemy po pół kilo mięsa na osobę, pół kilo warzyw, 300 gramów różnych kasz lub ryżu, 100 gramów tłuszczu. Zrana każdy z nas jest codziennie czyszczony i czesany; w razie potrzeby, poddany zabiegom leczniczym pod zwierzchniem kierownictwem profesora Weigla, poczem bierze lekcję tresury domowej. Jeśli przechodzi kurs tresury, idzie w pole. Ci zaś z pośród nas, którzy, jak ja, ukończyli już studja, idą na spacer. W ten sposób spędzamy dzień.

— Czy panowie mają duży teren dla tresury?

— Na Służewie, bezpośrednio koło Żółtej Karczmy, mamy pięć włók, prócz tego towarzystwo Wyścigów Konnych udzieliło zezwolenia, abyśmy odbywali ćwiczenia na terenach przyszłego pola wyścigowego, wreszcie mamy podobne zezwolenie od p. Klawego na terenach Służewca. Jest sporo zwierzyny, zajęcy i kuropatw, mamy krzaki z królikami i stawy na lato, słowem, mamy gdzie wyrabiać sobie chody i prowadzić edukację. To też wszyscy porobiliśmy znaczne postępy, jesteśmy w doskonałej formie i czujemy się znakomicie.

— Czy często panowie widują się ze swymi właścicielami?

— Ma to miejsce zwykle w niedzielę. Wtedy zjawia się większa ilość naszych panów i osób zwiedzających Żółtą Karczmę. Samochody, ruch, całe rendez vous de chasse. Mój pan przynosi mi różne przysmaki i ma dłuższą konferencję ze mną na temat mego zdrowia i poczynionych postępów. Inni panowie ze swymi psami czynią to samo. Pozatem, jeśli potrzebuję niezwłocznie porozumiewać się ze swym panem, mam do usług telefon 445-84.

— Jaki jest pański pogląd na przyszłość Żółtej Karczmy?

— Zakład nasz niewątpliwie będzie się coraz lepiej rozwijać. Myślę, że do jesieni będzie nas pensjonarzy, kilkadziesiąt sztuk. Miejsca mamy dosyć. Pozatem zakład nasz umożliwia Towarzystwu osiąganie szeregu ważnych celów. Umożliwia wychów szczeniąt, próbowanie naszych uzdolnień, racjonalny dobór par i t. p.

— Słowem, jest pan jaknajlepszej myśli?

— O tak!

Uścisnąłem zacną prawicę panu Rapowi i opuściłem Żółtą Karczmę pod najlepszem wrażeniem.

Z PRASY ZAGRANICZNEJ.

POLOWANIA W ROSJI DLA CUDZOZIEMCÓW.

Dyrektor O. Kraintz donosi do „Oesterreichs Weidwerk", że niedawno bawił w Rosji sowieckiej za interesami handlowymi czas dłuższy i dowiedział się, że niezadługo myśliwi zagraniczni będą mogli przyjeżdżać do Sowietów w celu zapolowania na zwierzynę miejscową.

Przed wojną mnóstwo cudzoziemców wybierało się jedynie po to do Rosji.

Istniejący bowiem obecnie w Sowietach Wszechrosyjski Związek Łowiecki, podlegający jak wszystkie instytucje w Sowietach subordynacji władz rządowych, na ich rozkaz świeżo postanowił kolosalne swe rewiry łowieckie wydzierżawiać cudzoziemcom, którzy przez 15 lat nie mieli do nich dostępu.

Najbogatsze rewiry znajdują się w okolicach Wiatki, Kostromy, Wołogdy i w północnych okręgach nad Wołgą.

Mają być wyznaczeni specjalni przewodnicy, którzy będą towarzyszyli cudzoziemcom przez cały czas ich pobytu w Rosji, dbając o ich wygody. Stronę techniczną zorganizują zawodowi myśliwi. Przywieziona przez myśliwych z zagranicy amunicja, broń i przybory łowieckie, będą zwalniane od cła. Trofea będą mogły być swobodnie wywożone.

HODOWLA PSÓW W NIEMCZECH I ROSJI.

W celu zbliżenia się hodowców psów w Niemczech i Rosji, dokąd wywozi się psy myśliwskie i użytkowe, z wyjątkiem luksusowych, których przywóz do Rosji jest niedozwolony, — niemiecki Kartel hodowli psów zawarł przyjazną umowę z dwiema rosyjskiemi Centralami kinologicznemi, pozostającemi pod nadzorem władz, a mianowicie ze Wszechrosyjskim Związkiem Łowieckim i Sekcją Centralną hodowli psów użytkowych S. S. S. R. Umowa ta idzie jeszcze dalej, niż zawarte przez Kartel niemiecki z kierowniczemi Centralami Anglji i Stanów Zjednoczonych Ameryki („Kennel-Club") Szwajcarji (Szw. Towarzystwo Kin.), Holandji („Raad van Becher"), Austrji (Austrj. Związek Kin.) i Czechosłowacji, co do wyłącznego uznania ksiąg rodowodowych, oznak rasowych, sędziów, odznaczeń wystawowych i prób polowych.

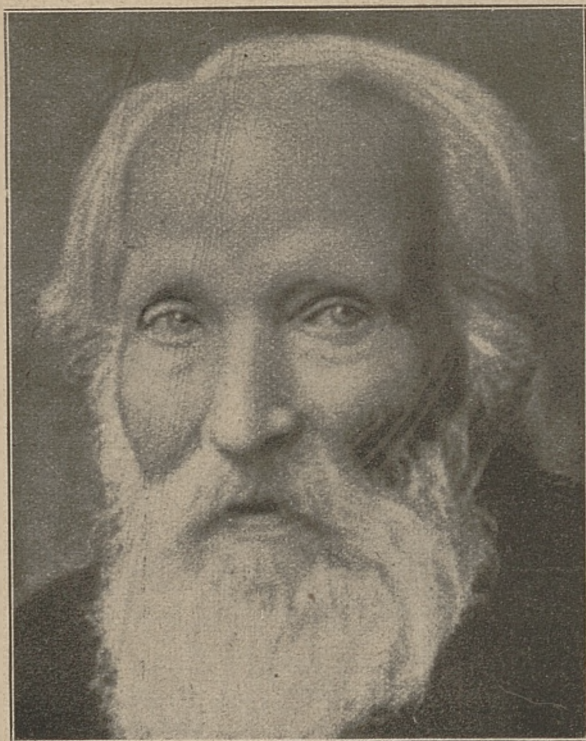
Związki Centralne Niemiec i Rosji obowiązują się wzajemnie dostarczać sobie odpowiedniej literatury,

książek, czasopism, wyjaśnień i informacyj w sprawach kinologicznych, komunikować sobie wyniki dokonanych doświadczeń w dziedzinie ulepszeń hodowlanych, żywienia, pielęgnowania, wychowania i układania młodych psów. Roboty oddziałów hodowlanego i gospodarczego, Kartelu i Sekcyj naukowych, mają być wykonywane za wzajemnem porozumieniem się. Przy obesłaniu wystaw, obie strony starać się będą wzajemnie o wszelkie ułatwienia, wizy i przesyłki. Niemiecki urząd eksportu zagranicznego, istniejący przy Kartelu, będzie pośredniczył w wysyłaniu psów z Niemiec do rosyjskich hodowców, wskazując źródła sprzedaży u różnych związków hodowli rasowej oraz reproduktorów dla przysyłanych suk z Rosji.

Wszechrosyjskie Muzeum rolnicze w Leningradzie, mieszczące się przy ulicy Fontanka X, (dyrektorem jest prof. I. Paroszka, sekretarzem Kotelnikow), zwróciło się już o nadesłanie dla oddziału hodowli zwierząt, możliwie dużych rozmiarów fotografij rasowych psów użytkowych. Muzeum to zostało świeżo wybudowane i zaopatrzone we współczesne okazy. W przesyłce pośredniczy niemieckie Towarzystwo wiedzy hodowlanej w Getyndze (Nikolausberger Weg 2).

Z ŻAŁOBNEJ KARTY.

† ś. p. B. DYBOWSKI.



W sędziwym wieku zmarł wybitny uczony i patrjota polski, ś. p. prof. dr. Benedykt Nałęcz-Dybowski, zasłużony także dla łowiectwa, jako zoolog światowej sławy, odkrywca wielu gatunków zwierzyny łownej, z której powszechnie znany jest gatunek, zwany jeleniem Dybowskiego.

Zmarły w 97 roku życia we Lwowie wielki uczony, urodził się w Mińszczyźnie. Studja wyższe ukończył w Dorpacie. Powołano go na prof. zoologji i anatomji zwierząt w założonej przez Wielopolskiego Szkole Głównej. Niebawem jednak pochłania go żywy udział w przygotowaniach powstania. Został też aresztowany i w lutym 1864 r. skazany na 15 lat ciężkich robót w kopalniach Nerczyńska. Studja nad mało zbadaną fauną syberyjską i zwłaszcza jez. Bajkalskiego, zwracają na niego uwagę uczonych rosyjskich i petersburskiej Akademji Nauk, i dzięki ich zabiegom, zostaje Dybowski ułaskawiony i w końcu 1876 r. wraca do kraju. Powraca jednak raz jeszcze, już dobrowolnie, na daleką Syberję, by uzupełnić tam swoje badania, które pochłonęły kilka lat jego życia. Jako uczony, o imieniu już światowem, Dybowski obejmuje w 1884 r. katedrę zoologji na uniwersytecie lwowskim i pozostaje na tem stanowisku do 1906 r. Tutaj zakłada Instytut zoologiczny i gromadzi w nim przywiezione, liczne okazy fauny bajkalskiej, syberyjskiej i kamczackiej, które uniwersytetowi darowuje.

Zmarły był też korespondentem Państwowego Muzeum Zoologicznego w Warszawie.

Początek Jego pracy naukowej na Syberji, jak sam pisze w swym „Pamiętniku", wydanym we Lwowie w roku bieżącym, 1930, nakładem Zakładu Naukowego im. Ossolińskich (str. 628), — stanowiło polowanie na sowę polarną i kupno piżmowców dla muzeum warszawskiego.

Cześć Jego pamięci!

Z Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich.

Protokuł posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 24 stycznia 1930 r.

Obecni pp. przewodniczący — Wacław Szperling, dyr. Bohdan Gędziorowski, mec. Walenty Garczyński, inż. Kazimierz Tołłoczko, inż Herman Knothe, Witold Kiltynowicz, Czesław Lisowski.

Protokuł prowadzą pp. Kazimierz Kamieński i Jerzy Bokiewicz. Nieobecność swą usprawiedliwili pp. Władysław Słonczyński, mec. Al. Tallen-Wilczewski, inż. Leopold Skulski.

W posiedzeniu wziął udział w charakterze gościa zaproszonego p. Maurycy hr. Potocki.

Przyjęto bez zmian do wiadomości protokuł posiedzenia Wydziału w dniu 8 stycznia.

Na rozpisane przez Wydział Wykonawczy listy do Wielkopolskiego Związku Myśliwych, Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, Towarzystwa Łowieckiego Województwa Wileńskiego i Łuckiego Towarzystwa Łowieckiego, w sprawie wyznaczenia przedstawicieli do Komitetu organizacyjnego udziału polskiego świata łowieckiego w Wystawie Międzynarodowej w Lipsku, nie nadeszła dotąd odpowiedź od Towarzystwa Wileńskiego.

Postanowiono wezwać Towarzystwo to telegraficznie do odpowiedzi, po jej zaś otrzymaniu — upoważniono p. dyr. Gędziorowskiego do wyznaczenia pierwszego zjazdu wspomnianego Komitetu.

Z ramienia Wydziału Wykonawczego postanowiono do Komitetu tego delegować pp. Czesława Lisowskiego, inż. Hermana Knothego, dyr. Gędziorowskiego i Maurycego hr. Potockiego.

Na wniosek p. M. hr. Potockiego, postanowiono zwrócić się do ks. Radziwiłła z Nieświeża z prośbą o zadeklarowanie na Wystawę w Lipsku cennej jego kolekcji łosi.

P. inż. Knothe w uzupełnieniu wniosku swego w kierunku budowy własnej siedziby dla Związku, złożył Wydziałowi Wykonawczemu szkic kosztorysu, w którym koszt budowy domu wraz z kupnem placu przewidziano do sumy zł. 500.000.

Kosztorys z opinją przychylną Wydział Wykonawczy postanowił wraz z poprzednim wnioskiem p. inż. Knothego przedłożyć na najbliższem posiedzeniu Zarządu Związku.

Sprawę ostatecznego zatwierdzenia projektu medali zasługi, postanowiono odłożyć do następnego posiedzenia z przyczyn, od Wydziału niezależnych.

Z nadesłanego przez p. Popławskiego, delegata w powiecie Łowicz, protokułu zebrania delegatów tego powiatu wnioski, zmierzające w kierunku nowelizacji ustawy o prawie łowieckiem, postanowiono przekazać jako materjał Komisji nowelizacyjnej.

Przyjęto i postanowiono ogłosić w „Łowcu Polskim" kandydatury na delegatów: w powiecie Brzeziny — p. Oskara Knothego, w powiecie Puławy — p. P. Kleniewskiego i p. Radyszkiewicza.

Przyjęto do wiadomości rezygnację z mandatu delegata w pow. Olkusz i Zawiercie, p. Z. Stattlera.

Odnośnie zrzeczenia się mandatów przez delegatów w powiecie Grudziądz, p. gen. Jarnuszkiewicza i w pow. Toruń, p. płk. dr. Gilewicza, uznano na wniosek Pomorskiego Klubu Myśliwskiego w Grudziądzu, że liczba pozostałych delegatów w wymienionych wyżej powiatach Grudziądz i Toruń jest wystarczająca.

Wielkopolski Związek Myśliwych wystąpił z wnioskiem o wyjednanie u władz regularnego odstrzału łań i sarn. Postanowiono zwrócić się do Wielkopolskiego Związku o podanie konkretnych wniosków w tej sprawie, wraz z proponowanymi terminami.

Jednocześnie w tej samej sprawie postanowiono zwrócić się do kilku wybitniejszych myśliwych-hodowców.

W związku z orzeczeniem Najwyższego Trybunału Administracyjnego w sprawie podatku luksusowego od broni myśliwskiej, postanowiono zamieścić w „Łowcu Polskim" o decyzji N. T. A. komunikat, wraz z powiadomieniem, że administracja „Łowca Polskiego wydawać będzie wszystkim swoim prenumeratorom drukowane motywy wyroku N. T. A., wraz z pouczeniem, co należy czynić w wypadku otrzymania nakazu płatniczego.

MIĘDZYNARODOWA WYSTAWA ŁOWIECKA W LIPSKU.

Do komisji honorowej rzeczonej wystawy należą, jako przedstawiciele Polski, pp.: dr. K. Bertoni, upełnomocniony minister i komisarz rządowy Polskiej Powszechnej Wystawy Krajowej, odbytej w Poznaniu, pułkownik rez. Konstanty Chłapowski z Mościejewa, wiceprezes Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, oraz hrabia Hochberg - Krucz - Goraj, z zamku Goraj.

Komisja organizacyjna w Lipsku postanowiła, że ograniczenie wyłączające z Wystawy trofea zdobyte w r. 1929, nie dotyczy wystawców zagranicznych, lecz tylko z Niemiec. Tamci będą mogli wystawiać okazy, zdobyte do dnia 1 stycznia roku bieżącego.

Trofea sztuk ubitych przez samego wystawcę, będą nagradzane medalami. Do jury będą powołani myśliwi z różnych państw. Za inne okazy, mające związek z łowiectwem, wyznaczane będą dyplomy honorowe.



— **Walka z kłusownictwem.** — Na terenie województwa lubelskiego skonfiskowano w grudniu kłusownikom:

W powiecie Biała - Podlaska — 2 sztuki broni myśliwskiej.

W pow. Biłgoraj — 5 szt. br. myśl. i skórkę lisią.

W pow. Chełm — 9 br. myśl., pistolet dwustrzałowy i 1 sztukę zwierzyny.

W pow. Garwolin — 7 br. myśl. i 14 szt. zwierz.

W pow. Hrubieszów — 1 br. myśl., 12 kg. śrutu, 4 pud. kapisz. i 58 gilz.

W pow. Janów Lubelski — 10 br. myśl. i 2 karabiny przerobione.

W pow. Janów Podlaski — 3 br. myśl., 7 szt. sideł i wnyków.

W pow. Krasnystaw — 5 br. myśl. i 5 sid. i wnyk

W pow. Lubartów — 8 br. myśl.

W pow. Lublin — 6 br. myśl., 3 sid. i wnyk., oraz 5 rewolwerów.

W pow. Łuków — 4 br. myśl.

W pow. Puławy — 6 br. myśl.

W pow. Radzyń — 5 br. myśl. i rewolwer bębenkowy.

W pow. Siedlce — 3 br. myśl., karabin austrjacki i cietrzewia.

W pow. Sokołów — 5 br. myśl.

W pow. Tomaszów — 4 br. myśl. i 1 zwierz.

W pow. Węgrów — 2 br. myśl., 7 sid. i wnyk., 3 szt. zwierz.

W pow. Włodawa — 5 br. myśl.

W pow. Zamość — 8 br. myśl.

Kłusownictwo. — O rozpanoszeniu się kłusownictwa w okolicach Zawiercia, donosi jeden z myśliwych „Kurj. Warszawskiemu", m. in. We wsi Jaworzniku, na około 200 numerów domów, około 30 domów posiada dubeltówki, pojedynki i t. p., przerobione z karabinów. We wsi Helenówce, która posiada około 20 domów, naliczyć można 5 strzelb. Prawie to samo można powiedzieć o Pohulance, a częściowo i o sąsiednim Myszkowie. Kłusownicy nie oszczędzają żadnej zwierzyny i strzelają zwierzynę cały rok, najczęściej przed wschodem słońca lub po zachodzie, na tak zwanego „wychodnego"

na różnych piaskach, polanach, przypolach, przylesiach. Raz spotkano czterech kłusowników, razem polujących na terenie Jaworznik. Zapuszczają się oni nieraz nawet znacznie dalej. Niezbyt dawno policjant z gm. Włodowic stwierdził na polach wsi Góry, że sześciu kłusowników urządziło sobie formalne polowanie w biały dzień. Policjant schwytał z nich tylko jednego. W sąsiedniej gm. Niegowa policja przyłapała kilku. Ten i ów spotyka kłusowników, ale boi się o tem donieść z obawy podpalenia lub nawet zabójstwa. Bardzo często natknąć się można na „pojedynkarza" albo „sidlarza". Często spotyka się zająca złapanego w sidła. To samo jest z większą zwierzyną, na którą zastawiają duże i mocne sidła. W czasie zabronionym handlarze skupują taką zwierzynę albo same skóry, i w miasteczku sprzedają.

— W Nojewie pod Szamotułami w Wielkopolsce, do zagrody Surdyka wszedł Tomasz Jurga:

— Gdzie jest Józef? — spytał.

— Poszedł do lasu na rogacza, — odpowiedziano.

Jurga puścił się niezwłocznie w drogę we wskazanym kierunku. W zamaskowanej kryjówce leżał Józef Surdyk. Obok niego lśniły lufy dubeltówki i karabinu. Jurga się zatrzymał. Na wezwanie Surdyka podszedł bliżej i usiadł obok niego. Nazajutrz znaleziono w lesie trupa niejakiego Kwiatkowskiego, z kulą w piersiach.

Przed wzmocnioną izbą karną sądu okręgowego stanęli Józef Surdyk i Tomasz Jurga, pod zarzutem zbrodni zabójstwa Kwiatkowskiego. W sądzie Surdyk przyznał się, że on i Jurga go zastrzelili. Jurga zaś twierdził, że na widok zbliżającego się Kwiatkowskiego począł śpiesznie uchodzić, by nie być podejrzewanym o kłusownictwo. Gdy przebiegł już 300 do 400 metrów, usłyszał dwa strzały. Na zgodny wniosek prokuratora i obrony, przewodniczący ogłosił uchwałę, mocą której trybunał, obrona, prokurator, oskarżeni, świadkowie i rzeczoznawca udadzą się na wizję lokalną miejsca zbrodni w Nojewie.

— **Nagrody za walkę z kłusownictwem.** — Komenda wojewódzka policji państwowej w Lublinie przyznała w IV kwartale roku ubiegłego nagrody pieniężne 8 policjantom, z których każdy otrzymał po 25 zł. za skonfiskowanie broni w czasie kłusownictwa.

— **Wystawa w Poznaniu.** — Towarzystwo Ornitologiczne w Poznaniu, urządza w dniach od 21 do 25 lutego b. r. w b. hali Przemysłu Graficznego P. W. K. przy ul. Marsz. Focha, „Wielki Pokaz Drobiu, Gołębi, Królików, Zwierząt Futerkowych i Psów" pod przewodnictwem p. d-ra Jerzego Szumana (Wielkop. Izby Rolnicz.).

— **Djalog o żubrze przez radjo.** — Dnia 30 stycznia r. b. przez Radjo Polskie w Katowicach, pp. prof. dr. K. Simm i artysta-malarz K. Rutkowski, wygłosili „djalog" p. t. „Osobliwości przyrodnicze śląskie: Żubr i cis", poruszając sprawę ochrony tego „najcenniejszego zabytku Śląska". Żubr, zdaniem prelegentów, to „wiecznie buntownicza siła, stale się odradzająca". Wyrażają się oni też pesymistycznie co do skuteczności przebywania żubrów w ogrodzeniu. Dalej zaznaczają, że na Śląsku podczas wojny, niemcy, wobec braku mięsa, zabijali żubry. Obecnie obszar ogrodzony dla żubrów na Śląsku wynosi 10.000 ha i kłusownictwo jest zupełnie niemożliwe. W dalszym ciągu artysta mówił o Fałacie i artystach, którzy malowali żubry.

— **Film egzotycznej zwierzyny.** — W jednem z kin warszawskich wyświetlano w ubiegłym tygodniu film szczególnie interesujący myśliwych, który zapewne obiegać będzie całą Polskę. Tytuł jego brzmi „Królowie Puszczy (Pori)". Występują tu liczne zwierzęta egzotyczne, niewątpliwie zdejmowane autentycznie na Czarnym Lądzie, bez żadnych t. zw. tricków filmowych.

Są to żywe obrazy opisów Stanleya, Cooka, czy Roosevelta. Setki metrów taśmy dają nam autentyczny widok życia zwierząt egzotycznych. Bohaterami filmu są zwierzęta, nie wymęczone po menażerjach i cyrkach, lecz schwytane aparatem filmowym w ostępach i prerjach Afryki. Mamy więc sfilmowane stada pasących się słoni, olbrzymie tabuny zebr, antylop, gnu, żyraf; walki ptaków drapieżnych o ścierwo zwierzyny zabitej, różne sposoby polowań i t. d.

Sceny przy wodopoju, oraz wszelkie ruchy najnaturalniejsze zwierzyny na swobodzie, stanowią dla oka myśliwego i przyrodnika istną rewelację, wobec której bledną najświetniejsze opisy książkowe.

BIBLJOGRAFJA ŁOWIECKA.

„Dziennik Poznański" w 4 styczniowych numerach niedzielnych zamieścił: Nasze ptactwo w styczniu. — Nowa wyprawa polska do Afryki. — Z Międzyn. Tow. Ochrony Żubra. — Do prezesów Tow. i Kółek łow. — O wieku zwierząt. — Osobiste. — Kronika. — Ptaki drapieżne i łow. — Nasze szaraki. — Czasy ochronne. — Cietrzew w naszej beletrystyce. — „Podręcznik Łowiectwa". — Polowanie na ptactwo wodne. — Ochrona żubra. — Z Wielkopolsk. Związku Myśl. — Ustawodawstwo łow. zagranicą. — Z polowań.

„Kartki Myśliwskie" Adama hr. Rzewuskiego mają następujące tytuły: Z kroniki niedźwiedziej. Koszmarowe przeżycia. „W sercu kniei" St. Zaborowskiego. Sąd Salomona.

Pozatem zamieszczono w odcinku: Władysława Janty-Połczyńskiego „Jeden dzień z życia myśliwego".

„Światowid" w N-rze 4 zamieścił artykuł p. t. „Polowanie na dziki".

„Tęcza" w N-rze 5 zamieściła: „Polowanie na dziki w puszczy Kozienickiej" p. Izabeli D.

WIADOMOŚCI HANDLOWE.

× **Kupcy futrzani w swej obronie.** — Polscy kupcy branży futrzanej, narażeni na liczne straty przez niesumiennych odbiorców, postanowili zorganizować we własnym zakresie obronę swych kapitałów. Kupiectwo tej branży zorganizowało własną centralę detektywów, która prowadzi dokładne wywiady o zdolności płatniczej odbiorców. W ten sposób kupiectwo pragnie zabezpieczyć się przed ewentualną niewypłacalnością klienteli, jak również i przed złośliwemi upadłościami.

× **Wystawa.** — W końcu r. z. odbyła się w Berlinie 2-ga Wystawa Zwierząt Futerkowych. Wystawcy tamtejsi wystawili około 170 lisów srebrnych i niebieskich, 100 norek, 120 królików szlachetnych, oraz wielką ilość szopów, bobrów i kun. Import futer do Niemiec w ciągu ostatnich dwóch lat znacznie się zwiększył, a mianowicie: styczeń — wrzesień 1928 r. importowano futer 54.000 q., wartości 180 milj. mk.; styczeń — wrzesień 1929 r. importowano futer wartości 215 milj. mk.

W celu uniezależnienia się od importu zagranicznego, przystąpiły Niemcy do własnej hodowli zwierząt futerkowych. W tym celu założono około 350 ferm hodowlanych, znajdujących się przeważnie w Bawarji, Prusach Wschodnich i Marchji Brandenburskiej. W fermach hoduje się przeważnie szlachetne gatunki lisów, norki, szopy i szlachetne króliki. Centralnym organem hodowców zwierząt futerkowych jest miesięcznik „Die Pelztierkunde", wydany nakładem „Verlag Arthur Heber & Co", Leipzig.

O DOKŁADNY ADRES.

Sz. P. Prenumeratorów prosimy o dokładne podawanie nam adresów. Adres ma zawierać: imię, nazwisko, miejscowość, (ewentualnie gmina) poczta i województwo (powiat zbyteczny).

Prenumeratę wysyłać najlepiej na konto czekowe w P. K. O. Nr. 80-82.

O NIEOTRZYMANE NUMERY.

Prosimy uprzejmie o wczesne zawiadamianie nas o nieotrzymanych numerach pisma. Reklamacje będą uwzględniane tylko w ciągu 3 tygodni od daty wyjścia danego numeru. Niereklamowane numery mogą być odstąpione w cenie 1 zł. za numer, lub o ile są na wyczerpaniu — jedynie w cenie całego rocznika.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 8; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie 3 zł. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; ½ — 150 zł.; ¼ — 75 zł.; ⅛ — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. — **Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. Agentom niewolno pobierać zaliczek.**
W numerach ozdobnych: za tekstem milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; ½ — 225 zł.; ¼ — 115 zł.; ⅛ — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — **Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. Agentom niewolno pobierać zaliczek.**

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. **ADRES: NOWY - ŚWIAT 35. TELEFON 7-98.**

Redakcja nie zwraca nadesłanych rękopisów i zastrzega sobie swobode czynienia z nich poprawek i skrótów. Redakcja nie odpowiada na zapytania, kiedy będzie drukowany artykuł, gdyż zależy to od całokształtu numeru i od posiadanego przez Redakcję materjału. — Redaktorzy przyjmują w poniedziałki od godziny 5½ do 6½ wieczorem.

Redaktorzy: **Juljan Ejsmond i Walenty Włodzimierz Garczyński.** Wydawca: **Polski Związek Stow. Łowieckich.**

Słoniowa historja.

— Czy pan słyszał o tym noworodku, co karmiony mlekiem słonia, codziennie przybierał po 10 kilo.

— Nic nie słyszałem, a cóż to był za noworodek?

— Słonia.

Pies i porada.

Rzecz dzieje się na letnisku. Do adwokata X. przychodzi pewnego dnia sąsiad tegoż, pan Y.

— Przyszedłem do pana dobrodzieja po poradę: jeżeli cudzy pies ściągnie komuś mięso z kuchni, czy od właściciela psa można żądać wynagrodzenia za mięso?

— Naturalnie!

— W takim razie będzie pan łaskaw zapłacić mi 10 zł., bo pański pies wczoraj ukradł mięso z mojej kuchni.

— Dobrze, panie, ale mnie od pana dobrodzieja należy się 20 zł. za dzisiejszą poradę. Proszę sobie przeto potrącić 10 zł. i wypłacić mi pozostałe 10.

Mody dla psów.

Pani White Pearce, założycielka wielkiego pensjonatu dla psów w Londynie, które kąpie, czesze, fryzuje na polecenie bogatych właścicielek, pisze o psich modach co następuje: „Psy, brane na spacery do parku lub na wizyty, mają nowomodne żakiety, ochraniające im piersi od zaziębienia, zwłaszcza gdy jadą ze swemi paniami w samochodach. W tym razie daje im się umyślnie dla nich wyrobione okulary, kapiszony na łby i chusteczki na kark. Kolory zastosowane są do kolorów, w jakie się panie ubierają. Niektóre mają obroże, nasadzane drogimi kamieniami. Modne ubiorki dla psów dochodzą do 10 dolarów.

Na polowaniu.

— Warjacie! Dlaczego nie strzeliłeś do lisa, na dziesięć kroków!

— Bo zaszedł mi z prawej strony, a ja w prawej lufie miałem śrut na ptaszki. Gdybym go miał od lewej lufy, tobym go sprzątnął.

Zakłady Drukarskie F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.